

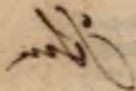
<http://rcin.org.pl>

3261

POWIEŚCI

DLA

MOICH ZIOMKÓW

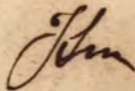


WOLNO DRUKOWAĆ.

*Z warunkiem złożenia prawem przepisanej
liczby Exemplarzy w Komitecie Cenzury.*

Warszawa d. $\frac{3}{22}$ Kwiet. 1845 r.

**STARSZY CENZOR I NACZELNIK K. C. R.
NIEZABITÓWSKI**



W Drukarni T. Wyszomierskiego

Przy ulicy Senatorskiej i Żabięj No. 955.

Egz. archiwalny IBL

POWIEŚCI

DLA

MOICH ZIOMKÓW

ORYGINALNIE NAPISANE

PRZEZ

J. S.



FOR I.



WARSZAWA,

1845.

181 w. 42



**INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN**

Białystok

ul. ... 72

0 ... w.

Tel. ... 31 w. 42

1145

ZIOMKOWIE MOI!

Jeżeli w samotnej chwili, zimowego wieczoru, kiedy zabraknie wam rozrywki, lub nie starczy zatrudnienia, te powiastki z potocznego życia czerpane, przyniosą wam zajęcia cokolwiek, już dosyć będzie nagrody dla

AUT.

WYKAZ TREŚCI

Jeżeli w stałej chwili czasu
niezostanie, będą zabraknie
przekazy, lub nie należy
powiastki z historycznego
nie, przynajmniej nam
nie, przynajmniej nam

I.

PURPUSE. — SAM JEDEN.

Narew nim złoży w dani polskich rzek Królowej, swe wody szare, rozta- czając je pierwój wśród lasów i łąk zielonych, tworzy nie jeden malowni- czy krajobraz, którego piękności dla tego nie dostrzegamy, że to u nas, w na- szej Płockiej ziemi.

Choćby nawet kto prostodusznie o- śmielił się wykrzyknikiem swoje uwiel- bienie wyjaśnić, zakrzyczanoby go, od- powiedzianoby ze wzgardą:

„Co pleciesz, chybaś nie widział nadreńskich okolic.” Lub przytoczonoby jaką rzekę Włoch, czy Hiszpanii. Nie zaprzeczam ja bynajmniej rozlicznych piękności obcym stronom, lecz mimo to piękna dla mnie rzeka, która mą rodziną skrapia ziemię, miłe dla mnie wszystko co nasze.

Patrzcie na to schludne nie wielkie miasto, co się wieżami swych kościołów w Narwi przegląda, a swemi ogrody ubarwia jej brzegi. To Pułtusk. Po między wzgórzami zbudowane, zdaje się jakby wśród nich się przyczaiło chcąc niespodziankę sprawić podróżnemu. Gdyż jadąc szosą od Warszawy, długo tyłkowysmukły telegraf sterczący widzimy, a po prawej stronie rzeka nas zajmuje, to wybiegając jakoby z nienacka z pośród zarośli, to uciekając i kryjąc się znowu, to pokazując

się szeroką, wspaniała ze swemi odnogami, zatokami, co okrążając rokosznej zieloności kępy, łąki, pagórki, lub gdzie indziej pas gołej ziemi zostawia, jakby plamę na wodzie. Wtem skręcamy raptem, spuszczeni wdół nieco a wraz i kościół starożytny, i różne budynki i bardzo często upragniony dom zajezdny oczom się naszym przedstawia. To Pułtusk powtarzam, dawniej z pierwszemi miastami w koronie się równające, przez swe prawa, przywileje i swobody, teraz tylko powiatu stolica. Niszczone przez różne napady nieprzyjaciół, częste pożary, wylewy, podnosiło się za staraniem Biskupów Płockich, noszących tytuł książąt Pułtuskich i przemieszkujących w zamku nasypanem wzgórzu, który dotąd istnieje, choć już kilka kroć przerabiany i w częściach odmurowywany.

Posiadało jedną z najpierw założonych w kraju naszym, drukarnią, słynęło szkołami, które z początku pod kierunkiem Jezuitów, następnie Benedyktynów przeniesionych z Płocka zostawały. Nawet już w połowie XV wieku, akademicy Krakowscy wykładali tu różne nauki. Pułtusk był świadkiem napałów Litwy pogańskiej i bitew Szwedów z Sasami. Widział Karóla XII i Napoleona rycerstwo, i teraz jeszcze jako będący na trakcie, dwie stolice łączącym, ma zaszczyt oglądać nie raz członków ukoronowanych familij. —

Cofnijmy się aż do 1813 roku. Jednej niedzieli, czy w święto jakieś, już nie wiem, roje Studentów sypały się z pięknego kościoła Fary, na czysty i obszerny rynek. Było po summie, rozchodzili się grupami do swych mieszkań spiesznym krokiem, bo czezość

— 11 —
żołądków, a żołądków studenckich, o-
biadową godzinę im przypominała.
Mimo to żwawe rozmowy tu i owdzie
słyszeć było. —

Aż mnie ręka boli od niesienia bal-
dachimu, mówił jeden — O! nasz bal-
dachim ciężki, rzekł drugi wyrostek,
u którego lekko czarująca się warga ze
siedmnaście lat zdradzała. Same tyl-
ko chwaty, jak my, dzwignąć go mogą.
Bo też u nas siła panie! jak u lwów,
lecz smarkaczom, hołocie, wara od nie-
go, zgmiotłby ich biedaków. —

— Wystawcie sobie, że ten szla-
chciura do baldachima się posunął.
Ten swierczyk nędzota chciał się mię-
dzy nas wmieszać. Kto? Bobiński.
Ha, ha, ha! i nic mu nie mówiłeś?

— Oho! jakem dał kułaka, aż odsko-
czył wtył i plecami uderzył Inspektora.
Grat stary obiecał mnie wsadzić do

kozy i pewno nie zapomni. Wywdzię-
czę ja się temu szlachetce z zagona.—
Gdzie dopadnę, skórę porządnie wyta-
taruję; niech zna Pana.

Napuszył się barczysty student koń-
cząc te słowa, sądził się bowiem wiel-
kim magnatem dla tego że jego rodzice
posiadali trzy zadłużone wioski.

— Wiécie? przyjechał raz do mnie
do domu, podczas wakacyi i chciał że-
bym ja mu oddawał wizytę.

— I byłeś u niego?

— Gdzież tam, byłby mnie częstował
chyba kapustą i gorzałką, którą jego
ojciec tego goli.

— Fiu! patrzcie, z jaką gęstą miną i-
dzie pan na Bobinie Bobiński, rzekł je-
den z rozmawiających, pokazując dru-
gim zbliżającego się studenta.

— Dajcież mu już pokój, przerwał na
koniec jeden, rozgniewacie hołysza i go-

tów mi na jutro wypracowania nie zrobić.

Wszystkie te pociski wymierzone były na szczupłego, ciemno-włosego młodzieńca, może najwięcej lat szesnaście liczącego, który wyszedłszy z Kościoła, sam jeden wracał do swego mieszkania. Na jego twarzy było więcej dumnej obojętności, aniżeli uniżoności lub pokory.

Zamilkli tak głośno pierwój rozmawiający o nim uczniowie, kiedy ich mijał, nie obejrzawszy się na nich, a ten próżniak który, jak widzieliśmy, od jego łaski wypracowania na dzień następny zadanego oczekiwał, zapytał go grzecznym i łagodnym głosem:

— Mój kochany Bobiński, skończysz te dla mnie na jutro to co wiesz?

— Obiecałem, odrzekł zimno młodzieńiec i szedł dalej.

Jego koledzy znów śmiać się zaczęli, sami dobrze niewiedząc z czego, a dwaj Professorowie, którzy postępowali za całą zgrają tak otuleni, że tylko między ich głębokimi czapkami i kołnierzami płaszczów okulary się błyszczały, mówili między sobą, poglądając za Bobińskim.

— To będzie kiedyś człowiek! Oby takich pilnych uczniów więcej w naszych szkołach było.

— Jaka w nim pracowitość, jakie wysokie zdolności!

Pan Bóg sprawiedliwie swemi darami rozrządza. Daje wyższość umysłową tym, którzy jej w innym względzie nie mają.

Młody Kazimierz nic z tych rozmów nie słyszał, nie domyślał się nawet że nim tak się zajmują. Szedł spieszenie, lekając się, aby nie był przymuszony

czekać go z obiadem poczciwy Urzędnik, któremu za stacją i jedzenie uczył młodych dwoje dzieci.

Lecz jeszcze nie dano do stołu, wziął się więc do obiecanego koledze ćwiczenia, aby całe poobiedzie mieć wolne.

Kazimierz był jednym z tych rzadkich młodych ludzi, u których władze umysłu prędeż jak ciało dojrzewają. Czy to szczęśliwe usposobienie, wątpimy, porównywając wychudłą twarz jego i oczy zapadłe z wesołemi rubaszniemi postawami kolegów. Rysy Kazimierza wyrażają jakby jakąś boleść, jakieś dotkliwe, głębokie uczucie. Zdawał się zastanawiać i myśleć wiele, jego własne pisma miały zwykłą cechę smutku. On nawet (coby jako fenomen w życiu studenckim zapisać można) slizgać się nie umiał i porządnego byka (prztyczka) daćby nie potrafił.

Niezręczny we wszystkich zabawach ruchu ciała wymagających, pierwszym za to był w klasie. I chociaż koledzy do gry w piłkę i innych zabaw przypuszcząć go nie chcieli, choć drwili z niego bezustannie, mimo to udawali się zawsze do niego, gdy który zapomniiał co zadano na lekcję, lub nie uważał wykładu Professora, a wszystkie leniuchy, ciasne głowy, próżniaki, których zazwyczaj wszędzie przewyższająca liczba, suto go częstowali owocem, ciastkami i prosili bardzo pięknie o poprawę tłumaczenia, lub zrobienia ćwiczeń.

Często Kazimierz samotnie odbywał przechadzki, podczas kiedy towarzysze tłumnie, gwarliwie się bawili. I tej niedzieli o której mówimy, poszedł za miasto po-nad Narwi brzegi, wszędzie pusto, cicho, ani jednej łodzi, ani je-

dnego ptaka nie widać, nawet rybki się nie pluszczą, wiatr liśćmi drzew nie zaszeleści. Była to, ta okropna wsi spokojność, która duszę tęsknotą napała, zdaje się jakby wszystko obumarło w naturze.

Patrząc na tę rozległą okolicę, wśród której nie dostrzegłeś postaci człowieka, serce Kazimierza się ścisnęło. — Niewysławiony opanował go smutek, zaczął płakać szczerze, dziecinnie, nie wstrzymując się, płakał choć istotnej tego przyczyny nikomu opowiedziećby nie mógł, tylko w głębi duszy, tęskna myśl mu brzmiała, ja tak sam!

Jednak on nie był nawykły do towarzysztwa. W domu, dzieckiem będąc, zawsze się sam bawił, a teraz nie miał żadnego przyjaciela między kolegami, unikał ich, bo nie mógł znosić ich sztyderskich przycinków, które mu bardzo

dotkliwemi były, choć bynajmniej tego nie pokazywał. Już nawet zniżył się był do poszukiwania ich stronnictwa i nie jedne kilka złotych, z trudnością otrzymane od Ojca, na ucześnie ich był stracił. Nic niepomogło, oni zjedli smaczno, ukłonili się, a mimo to wnet powód do drwinków znaleźli. Za nadto był dobrym uczniem, aby nie wzbudzać zazdrości w drugich uczniach, którzy radzi zawsze znaleźć w czem poniżyć i wyśmiać tego, który ich ciągle dobrem postępowaniem i pilnością swoją poniża. Lecz Kazimierz przedsięwziął wszystko wzgardą odpłacać, znikim nie żył, jedynym najprzychylniejszym mu był towarzyszem duży wyżeł, chowający się u Urzędnika, u którego on mieszkał, ale dzisiaj nie poszedł z nim na przechadzkę. Zaspał się widać gdzie w kącie, myśli Kazimierz o nim wspo-

mniawszy, gdy w tym z radością ujrzał zbliżającego się i węchem szukającego śladu psa, którego po pięknych kudłatych uszach, poznał od razu. „Kardasz!” zawołał głosem pełnym uczucia. Wyżół jednym susem już stanął przy jego nogach, lizał mu ręce, skakał i zawył radośnie. Potem patrzył bystro w jego zapłakane oczy i zesmutniał; spuścił głowę i znów ją podniósł, znów utkwiał w jego obliczu pełne wyrazu spojrzenie. Zdawało się że pragnąłby móżdż zapytać, z kąd ta boleść? że nie ledwie go pocieszyć usiłował. Kazimierz uśmiechnął się mu wdzięcznie i dał w kieszeni znaleziony bułki kawałek. Pies pochwyciwszy wesoło za podane sobie jedzenie, położył się i już na nie niezważając, skwapliwie jeść zaczął. Szczęśliwy! mówił Kazimierz głaszcząc go, tobie nie wiele potrzeba!

Potem oczy w Niebo wlepiwszy, zawstydził się że mógł po zazdroście zwierzęciu.

Po sposobie, jakim dotknął ręką czoła widać było, że instynktownie uczuł wyższość człowieka, że był dumnym mózdz uwielbiać i podziwiać dzieła stwórcy.

Myśli jego inny obrót wzięły.

Wspomniał o swoim imienniku dwa wieki temu żyjącym, o którym był czytał niedawno. O Kazimierzu Sarbiewskim, prawie z tych samych stron co i on rodem, bo z Sarbiewa, wsi pod Płońskiem leżącej. On także, mówił sobie Kazimierz, był tutaj w szkołach, także lubił chodzić nad pięknej Narwi brzegi, patrząc na nią, jej pochwały wierszem opiewał.

I stanęło mu w pamięci że takiego samego jak on teraz studenta, później

uwieńczył Papież Urban VIII, że nim się szczyił zakon Jezuitów, a Polska umieściła w swych poetów liczbie. Księża sutanna, wieniec poety, na przemian mu się w wyobraźni migały. Oh! pisać... ale nie, ty nie masz talentu pisarza, u ciebie cała poezya w karbach serca, ty ją czuć, pojąć umiesz, ale nie wciskać w ciasne rymów ramki.

— Czem że będę? mój Boże! pytał Kazimierz z rozpaczą, w co się obrócę, jak skończę klasy. A już za kilka miesięcy wakacye. Przy rodzinie żyć mi nie podobna.

Już się zciemniało, powstał, z mocno jak widać uczynionem postanowieniem, bo nie uważał na skoki i łasienie się ulubionego Kardasza, i mówił z cicha do siebie: „Nie ma rady, będę Księdzem.”

uwieczny Papiet (Iwan VIII) ze nim
 się zaczęły zagon żeniłow. a Polska n
 mieściła w swych polow lixpie. krac
 za silnna wienie poły. na grzymian
 mu sie w wyobrazeni międy. Oł pi
 sac. ale nie ty nieważ talentu pisa
 rza, w ciebie cała poezya w karsbach
 serca. ty ja cnie. pojac umiesz ale nie
 weiskac w czasie rymow rami
 — Czem to bedę, moj Boze! byla
 karmiera z rozpacza w co sie obraca
 jak skonek klasy. A joz za kilka mie
 siecy wakarce. Przy lamili żyć mi nie
 podobna
 Już się xciemniało powstał z mo
 eno jak widać ucyzionem dostanowie
 nym. bo nie wwał na skoki i kaszenie
 się ulubionego karsasa i mowi z ci
 cła do siebie: Nie ma rady, bede
 kichem

WIOSNA SZLACHECZA.

Zbaczając nieco na lewo z traktu wiodącego od Prasnysza do Ostrołęki napotykamy za lasem nędzną wioskę Bobin. Wieś szlachecka taka jakich u nas jeszcze wiele, w której prawie tyle hardych panów ile nędznych zagonów ziemi. Te bowiem mająteczki już i tak nie wielkie, bo dziesiątą lub dwunastą część małej wsi stanowiące, rozdrabnia jeszcze szlachta równym, między dzie-

ei, działem gruntu. Tak że jak przyjdzie do wnuków, prawnuków, to często-kroć dwóch właścicieli na jeden zagon wypadnie. Ztąd kłótnie, bójki, pozwy, processa nieskończone. Jeździ szlachta do miasteczka na sądy i najczęściej przepije więcej jak wart cały grunt o który spór wiedzie.

Zabawne bo też to figury, ta drobna szlachta. Trzy w niej charakterystyczne oddziały uważać można. Naprzód zawadyaki, szlachta sejmikowych czasów zarywająca, krzykały gotowi do burd i kłótni, piją sławnie, a biją się jeszcze lepiej. Mając zawsze (jak to mówią) tylko płótno w kieszeni, uważają za swą własność wszystko co im w ręce w padnie, nawet czasem i to, po co rękę wyciągnąć trzeba daleko. W orać się w grunt cudzy, zrobić szkodę w zbożu sąsiada, zakradać się w nocy

do okolicznych lasów, bić leśników, ścinać wysokie sosny, oto ich sprawy najczystsze. A jak ich złapią na gorącym uczynku rabusiostwa, mają czoło wołać: „Cóż to, ja szlachcie, nikt mnie się tknąć nie powinien.”

Do drugiej najzacniejszej części szlachty należą ci, co to w wojsku byli, co różności o cudzych krajach o swych dowódcach opowiedzieć mają. Tacy pociągnąć także lubią i pogawędzić długo przy kieliszku, ale rozsądnie, powoli łykają sobie.

Tęgie głowy, nie łatwo na nich poznać ile pół-kwaterków przeszło im przez gardło. Nawykli do porządku, są zwykle spokojni, poczciwi, a nadewszystko wierni raz danemu słowu.

Trzeci oddział stanowi szlachta zażona od żydów szachrajstwem, oszustwem, chciwością. Ci także spokojni,



bo wyrachowani, nawet tchorze czasem, ale to rzadko, umieją zawsze w samą porę odejść od butelki do łóżka.

Biorą się do handlu, spekulacyi, pożyczają małe kapitały za wielkimi procentami i potrafią je choćby z gardła dłużnikowi wydrzeć. Są to jak widzimy wyrodki, gdyż dawna szlachta brzydziła się tém wszystkim.

Wśród podobnych to ludzi urodził się Kazimierz. Jego cała rodzina osiadła w Bobinie i okolicznych wioskach, przedstawiała w swych członkach liczne obrazy skreślonych tu charakterów.

Kiedy po skończonych naukach Kazimierz przyjechał na wakacye do rodzicielskiego domu — zastał swego ojca Mateusza Bobińskiego, siedzącego z mężem ciotki Konarzewskim. Między nimi stojąca flaszką na czerwonym

stole jeszcze do pół anyżowką napełnioną była. Kazimierz przywitał ich jako też Matkę i siostrę, zapytał się o starszego brata, który był na targ pojechał, i złożywszy swoje rzeczy i książki usiadł w kącie. Ojciec Kazimierza sławny pijak, jak widać po zaczerwienionych jego oczach, rozmarzony trochę, nie spytał się syna o powodzenie w naukach, ani o nagrodę, promocyą, tylko pochwycił za bułki przywiezione z Pułtuska i krajał je nie przerywając zaczętej rozmowy.

— Szwagierku, szwagierku, mówił Konarzewski, szlachcicowi z czerwoną twarzą, z grubym sinym nosem, co także zapamiętałego miłośnika gorzałki zdradzały, nie pozywam cię, nie szargam cię po sądach, broń Boże!... Ja wiem żeś ty uczciwy, ale widzisz, kto weźmie co od kogo oddać musi. To niepieknie,

od miesiąca już upominam się u ciebie o te pięćdziesiąt złotych, oddasz je?

— Oddam.

— To oddajże,

— Kiedy nie mam.

— Ba! żebyś chciał tobyś miał.

— Pijno Wacpan, przekaś świeżą bułką.

— Doskonała! ale jakże to będzie z temi pieniędzmi?

— Przez miłosierdzie Boskie, czekaj jeszcze braciszku. Patrz oto drągał ze szkół przyjechał, i pewno znowu trzeba będzie wpis zapłacić za niego. Żal się Boże, bo nie wiem na co to się przyda. Żeby nie namowa matki....

— No, będziecie też mieli syna uczonogo.

• — Nie będę potrzebował od was oj.

cze pieniędzy, zebrałem sobie trochę za korrepetycyę, ozwał się Kazimierz.

— Doprawdy — a wieleż masz synaczku?

— Nie wiele, lecz może mi wystarczy.

— Możebyś ty mnie rodzicowi swojemu pożyczył?

— Tak, tak, pożycz rodzicowi Kazimierz, to onby mnie zaraz oddał.

Kazimierz spostrzegł, że trudno mu będzie się wykręcić, wolał więc uszczuplić samemu sobie, a spłacić dług za ojca.

— Oto jest pięćdziesiąt złotych, ale proszę mego ojca pokwitować i więcej do niego nie mieć pretensyi; rzekł do Konarzewskiego z pewnem odcieniem hardości w głosie.

— Oczewiście mój panie, odrzekł

szlacheic uradowany i zgarnął złotówki.—

— Poczciwe synisko, powiedziała Matka całując Kazimierza, a dostałżeś ty teraz taką piękną książkę jak tamtego roku.

— Nagrodę? dostałem matko.

Wstał Konarzewski i wyjechał, a panna Bobińska zastawiła kolacją, kartofle z kwaśnem mlekiem. Kazimierz zjadł kilka z solą i spać się położył, ojciec jego nic nie jadł, kończył tylko pozostałą gorzałkę i długo jeszcze Kazimierz, leżąc w łóżku słyszał łyków odgłos.

Jak się długie biédnemu młodzieńcowi wydawały te wakacye. Nie kiedy wyrzekał nie ledwie na to, iż wyższe odebrał wychowanie, i mimowolnie wydaje sąd o tych, którychby tylko kochać i szanować powinien, że tak często do-

— 31 —

znaje uczucia wzgardy dla tych, wśród których się urodził. Chociaż mało miał wyobrażenia o lepszym towarzystwie, jednak marzył zawsze o przyjaźni, inaczej wyrażonej, jak powtarzaniem kieliszka, o domowym życiu, nie tak zgryźliwym i kłótliwem. Widok pijaka zgrozą go napełniał, gotówby go był odepchnąć nogą jak najpodlejsze ze zwierząt, a cóż kiedy tym pijakiem najczęściej mu się na oczy nasuwającym, był jego Ojciec. Często po całych dniach nie przychodził do domu aby nie być świadkiem wszystkich kłótni tyle mu dotkliwych i poniżających go. Miał on takt szczególny. Są tak uprzywilejowane osoby, które ani przez zwyczaj, ani przez naukę, ale instyktowo wiedzą, jak kiedy postąpić wypada, co się śmiesznem wydawać będzie, co kogo obrazić, rozgniewać może.

Jest to jakaś delikatność duszy, jakaś domyślność, wzrok drugi, skazówka postępowania dana niektórym. Kazimierza poniżało i wstydziło to, jak w ogólności bracia szlachta stają się śmiesznymi przez dziwactwa swoje, gdy tymczasem bynajmniej nie starają się, aby godnem postępowaniem, 'poważaniem sobie zjednać.

Ileż on przedstawiał bratu, że to niegodnie tak kraść zawsze drzewo w cudzych lasach, że lepiej by było nawódce sobie uszczuplić i zato kupić opału. Brat śmiał się z niego i mówił: „Bajesz mój kochany, dość i tak źle człowiekowi, jeszcze żeby sobie trochę tej gorzałczyny odmawiał. A pan panem zawsze zostanie choć ja mu tam i zetnę kilka chojeczek do roku.

Tak kradzież swoją uniewinniał pan Ignacy Bobiński i dalej postępował je-

dnakowo. Raz w nocy ze swoim parobkiem ściał był budowlowego drzewa sztukę, ale posłyszawszy nadchodzących leśników uciekli. Nazajutrz po ściętą sosnę przyjechała ze dworu fura. Już ją zabierać miano na użytek właściciela lasu, kiedy wypadł z krzaków Ignacy z kilkoma swymi. Niepodobało mu się żeby kto innymiał korzystać z jego nocnego trudu. „Alboś ty ją ściał niegodziwcze! co ją zabierasz, krzyczał na fornała i nuż go drągiem przez głowę. Aż lejce wypuścił biédak i padł bez zmysłów. Chłop co z nim był, zemknął i przywołał leśników. Złapano panów szlachtę, zaprowadzono do dworu i dano każdemu po dwadzieścia kijów, położywszy, niestety! nawet nie na dywanie.

Wrócił Ignacy do domu zemstę przysięgając. Jakaż zemsta w jego mocy?

oto może podpali temu panu budynki folwarczne. Lecz i to nie uda się łatwo. Złapią podpalacza, a za to kajdany, hańba.

Ale cóż się dziać musiało Kazimierzowi! on czuł za wszystkich, był jako zbłąkany wśród tych grubijanów, którzy nie pojmowali delikatności jego uczuć. Musiał ciągle stawiać im opór, albo też cierpliwością się wzbierać. Matka prosiła go często żeby popasł gęsi i nie uważał bardzo choć one wejdą w zboże sąsiada. Ojciec raz wraz po wódkę go posyłał. Wymówić się niepodobna było, bo stary miał energiczną rękę, i kiedy jeszcze sobie podpił, nie ociągałby się pewno z podniesieniem batoga, aby przypomnieć posłuszeństwo synowskie. Ileż razy Kazimierz łzy tłumił, kiedy Żyd karczmarz na kredyt dać nie chcąc, dawne

przypominał długi. W ten czas wróciwszy z niczem do Ojca dostał nie jedno połajanie, usłyszał nie jeden gorzki wyrzut.

— Na cóż mi się zdało wydawać na ciebie drażalu. Wyrósłeś do niczego i konia zawrócić nie umiesz. Tchórz z ciebie, cóż mi po twoich naukach kiedy z ludźmi rozmawiać się nie nauczyłeś.

Biegł sam stary do karczmy. „Mosieczku, wołał głaszcząc Żyda po plecach; Kochany złocisty Mosieczku jeno jeszcze pół kwarty, jedyne półkwarty, jak mi Bóg miły. Poborguj aby do jarmarku. Dalibóg oddam wszystko, jakem szlachcie, jakem Bobiński, oddam. Mam na sprzedaż slicznego nieuka w czwartym roku, może pochandlujemy, słuchajno Mosieczku.

Żyd posłyszawszy o handlu, łatwiej

ubłagać się dawał, pewny że za pół darmo weźmie wspomnianego wolca. Namierzył gorzałki, a za swą powolność dwie kresek więcej do dawniejszych długów dodać nieomieszkał. Bobiński zaś uradowany wracał z tryumfem do domu.

„Patrz, widzisz gawronie, wołał na syna, już cię nigdy nie pošlę.

„Oby tak było! myślał Kazimierz, ale gdzież tam, jeszcze tydzień nie upłynął, a tu jedź synie po okowitę do panna wsi sąsiedniej.

Tą razą są pieniądze, baryłka, parę koni do bryczki zaprzęgają. To znowu panna Bobińska przejechać się z bratem ma ochotę. Bierze bandażowane trzewiki, na bosc brudne nogi, kapelusz z przeraźliwemi kwiatami na głowę nieuczesaną. Olbrzymią rękę pokrywszy bawełnianemi rękawiczka-

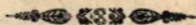
mi raz wraz je na wierzch z pychą wyjmuje. Przyjechawszy taka ze swego stroju kontenta, pogląda po sobie i po drugich, czy się jej przypatrują. Mimo to nie zapomina prosić natrętnie o przylewkę. Syn Pański, co stoi przy wydawaniu okowity, śmiechu powściągnąć nie może, zwołuje swe siostry, chichoczą się razem i rozmawiają po francuzku, a szlachcianka mizdrzy się i wdzięczy coraz bardziej, myśli sobie że to ją chwałą zapewne. Kazimierza zaś wściekłość bierze, on rozumie te wszystkie żarty, radby co na nie odpowiedzieć, radby się ująć za siostrą, lecz wnet przychodzi uwaga. „Mają słuszność ona taka smieszna” i milezy przygryzając wargi, jednak go bynajmniej, smiania się nie bierze ochota.

— O! jabym tu nie wytrzymał z nimi, mówi sobie po podobnych scenach

i nadzieja oddalenia się od swoich, tym mocniej go w chęci zostania księdzem utwierdza. Biedny młodzieniec, kiedy mu nawet jako szczęście przedstawia się myśl o opuszczeniu świata, wyrzeczienie się uczuć i wszelkich uciech, jakie one obiecywać mogą. Zbyt młody jeszcze aby ze wszystkich stanowisk rzeczy uważał. Kobiety żadnego na nim nie czynią wrażenia. Czyż mogą rozognić wyobraźnię te słupki w szlafrokach niezgrabnego kroju, te rosłe barczyste szlachcianki, tak pociesznie modę małpujące, które on widzi codziennie.

Jeżeli mu kiedy postać kobiety przez myśl się przesunie, to taka biała, delikatna wysmukła, z drobnymi nóżkami, jak święta Magdalena, którą widział w ołtarzu w parafialnym kościele. Kazimierzowi się więc zdaje, że marzy o

świętych i to jeszcze za dowód swego
powołania do Kapłaństwa uważać go-
tów. —



CIEKAWOŚCI

Kazimierz miał wuja, ciotecznego brata
i siostrę matki, którego między wszyst-
kiemi krewnymi najbardziej cenił i
szanował. Jego radę chętnie je-
szcze zasięgał, i w tym celu pojechał
do niego przy końcu wojny. Słoty
wuj mieszkał o dwie mile, był to du-
szy hotelera, jedena małej litary tych,
które cali wyzali i wywozów Somo-
Siera. Jak lubił słuchać Kazimierza

ΣΕΜΝΑΡΤΣΑ.

Kazimierz miał wuja, ciotecznego brata swęj matki, którego między wszystkimi krewnymi najbardziej czcil i szanował. Jego zatem rady chciał jeszcze zasięgnąć, i w tym celu pojechał do niego przy końcu wakacyj. Stary wuj mieszkał o dwie mile, był to dawny żołnierz, jeden z małej liczby tych, którzy cali wyszli z wąwozów Somo-Sierra. Jak lubił słucać Kazimierz

wszystkie jego opowiadania o rozkosznych krajach południowych, stawało mu w pamięci męztwo Spartanów, tych rycerzy których najbardziej w historyi starożytnej zamiłował. Łzy mu oczy wypełniały, wołał z zapałem: „Mój Wuju jakże ja ci zazdroszczę!”

— O! wasze oczy nigdy nie podobnego nie zobaczą, zwykł odpowiadać starzec zadowolony że go z takim uniesieniem słuchają.

— Mój Wuju, rzekł teraz Kazimierz po przywitaniu, przyjeżdżam do ciebie po radę i pomoc, chcę być księdzem.

— Księdzem! Ej chłopcze coś ci się zapragnęło próżniackiego życia.

— Nie Wuju, czyżeś mię kiedy znał próżniakiem. W każdym stanie pracowitym być można, cóż dopiero w tak świętym i wiele obowiązującym. Będę

pracował Wuju, aby się stać godnym Kapłanem.

— Może cię znowu jakaś chęć wywyższenia bierze. Strzeż się, ci co zbyt wysoko wzbić się pragną, czasem spadają jeszcze niżej. —

I to nie Wuju. Bądź spokojny, nie marzy mi się ani tiara, ani pastorał. Szczerze mówiąc, chciałbym inszego życia innych ludzi w około siebie widzieć.

— Prawda, że to wy tam jakoś się nie zgadzacie w swoim rodzie. A cóż Ojciec?

— Mój ojciec, rzekł Kazimierz smutnie potrząsając głową, jakby chciał wyrazić że ten co mu dał życie nie wiele dba o niego. — Pozwala, dodał po chwili.

— Ej o to się nie turbuję odpowiedział starzec śmiejąc się, chociażby mo-

że pan Mateusz wolał cię zrobić gorzelnikiem.

— Jak zostanę kiedy proboszczem będę mógł być rodzicom pomocny. Już i tak długo jestem im ciężarem.

— Bądźże więc Księdzem; kiedyś już sobie tak umyślił, choć szkoda mi cię chłopcze. Jam sobie ułożył, że kiedyś będziesz mężem mojej Jagusi. Nie żał że ci jej, powiedz?

— Będzie zawsze moją kochaną siostrą, rzekł Kazimierz bez najmniejszej żałości, obcierając zasmoloną buzię dziewczynki, aby ją pocałować.

Uradowany że ma sobie zapewnioną wuja opiekę, wybrał się z nim do Warszawy i tam wszedł do Seminarjum.

Mile jednostajnie zeszły mu te lata wśród obowiązków i nauki, czytał wiele, ani długość dzieła, ani oschłość materii, nie go zniechęcić nie mogło. O-

prócz swego języka poznał jeszcze gruntownie łaciński, grecki, niemiecki, i francuzki. Miał więc obszerne pole do nabycia wiadomości. Do teologicznych i historycznych dzieł brał się najchętniej. Nie cofał się także przed filozoficznemi badaniami, a wiara jego tym gorętszą, gruntowniejszą była, bo z przekonania. Często śmiał się wzgardliwie, odczytawszy systemat Spinosy, lub inny temu podobny, litował się nad tymi ludźmi, co się siłą dowodzić matematycznie, że jest pierwiastek wszystkiego, lub że go nie ma, że cały ogrom stworzenia, powstał tylko przypadkowo, z kombinacyj, i atomów. Bez-użyteczne rozprawy! czyż oni sami najlichsze atomy w tym wielkim świata ogóle, nie czuli wewnętrznym objawem, nie słyszeli w około sie-

bie w całej natury głosach coś przekonywającego: „jest Bóg!”

Tak myślał Kazimierz i kochał Stwórcę gorąco. U stóp Jego złożył cały skarb młodych uczuć, ani ich cząstki nie oderwał dla świata. Wśród tych nauk i rozmyślań spoważniał umysł jego, zyskał sobie względy wszystkich przełożonych. Miał wymowę ognistą i przekonywającą, prawdziwie kapłańską, w obejściu łagodność. Przedstawiony Arcy-Biskupowi, podobał mu się odrazu i własce jego się utrzymał, choć nie śmiały, a nawet trochę hardy, bo narzucać się nikomu ani przypochlebiać nie umiał. Szanowny pasterz odgadł, że Kazimierz będzie z tej wzorowych duchownych liczby, tak u nas małej, że wyznać przykro. Często go przywoływał do siebie, kształcił swemi uwagami, cieszył się nim jako mło-

dą latoroślą, z której spodziewał się obfitych, dla dobra religii owoców. Lubił słyszeć młodzieńca mówiącego z uniesieniem o Bogu, o piękności i wielkości stworzenia, z wiarą i zachwyce- niem oczy wlepiając w Niebo, jakby je już widział otwarte dla siebie.

Raz Arcy-Biskup opowiadał o ulubionym seminarzyście, który się już gotował ostatnie przyjąć święcenie, bogatemu panu z Litwy.

— Jakby mi on się zdał ten młody człowiek, mówił Książę. Właśnie mi potrzeba guwernera do mego syna, a starych pedantów nie lubię. Tylko dzieci nudzą.

— Daruj, mości Książę, ale my takich ludzi pozbywać się nie możemy, któżby piastował dostojęstwa Kościoła, ktoby pracował nad dobrem i oświeceniem ogółu, gdybyśmy takich zo-

stawiali po prywatnych domach, zajmujących się jednym lub dwojgiem dzieci.

Lecz niech tylko wasza Ekscelencya uważa ile on u mnie stanie się pożytecznym Kościołowi. Naprzód troje moich dzieci religii uczyć będzie, przytem dam mu zaraz altaryą wakującą na którą fundusz jeszcze przez prababkę moję zapisany. Będzie także naszym kapelanem póki nie ukończy edukacyi mego syna. Dopiero dam mu jakie najlepsze w dobrach moich probostwo, a wtenczas ileż mu nastręczy się sposobności pracować dla dobra religii. Nasi Litwini, naród hardy, nad wyraz zaślepiony w tém wszystkiém co ma swego rodzinnego. Wielu jeszcze tradycyjne zachowuje dawnęj religii obrządki, z naszymi je mieszając. Zabobonów u nich pełno. Na taki lud wiele

proboszcz wpłynąć może. Jeżeli będzie człowiekiem łagodnym, światłym, znajdzie zdaje mi się, godne duchowego zatrudnienie.

— W rzeczy samej, odrzekł Arcy-Biskup — to piękne powołanie być ojcem duchownym tych ludzi, oświecać ich, wyprowadzać z błędów zabobonu, jednoczyć węzłem miłości chrześcijańskiej. Z niemi to podobno łatwiej celu dopiąć można, dodał z westchnieniem, jak z tym naszym niby oświeconym ludem, w którym złe nałogi, a nadewszystkie inne pijaństwo, głos religii i moralności zagłuszają.

— Więc zabiorę z sobą młodego człowieka?

— Ha! nie wiem — chyba żeby to wołał jego było.

Zapytany Kazimierz przystał na wy-

jazd do Litwy, i przyjął ofiarowany mu obowiązek, tylko powiedział:

— Muszę moją pierwszą Mszę w Warszawie odprawić.

— Ile masz lat młodzieńcze, pytał ksiązę.

— Dwadzieścia trzy lat skończone, więc już za pozwoleniem Biskupa mogę wyświęcić się na Kapłana. Inaczej musiałbym czekać lat dwudziestu czterech.

DOM WTRĘBIEGO PASIA,

W kilka dni po pierwszym odprawieniu Mszy Stój, Kazimierz Bobiński wsiadał do karety Litewskiego pana. Mięli Kowno i szóstego dnia po wyjeździe z Warszawy stanęli w Wurle. Kazimierz przez czas podróży już był nawykł do księcia, już zdało mu się, że w nim ojca, o jakim marzył często, znajduje. Niecierpliwy poznać Księżnę, pewny że i ona równie słodką, łaska-

wą dla niego będzie. Ale nie, była ona zupełnie przeciwnego, jak mąż jej charakteru. O ile ten życzliwy dla wszystkich, prosto-duszny, nie chełpiący się z niczego, o tyle ona zimna i dumna arystokratka. Nie wypowiedzianie metodyczna, wszystko w przepisanych robiła godzinach, zdawało się nawet że uczucia swoje podciągnęła pod reguły pewne. Otóż dla Kazimierza, jakiegokolwiek byłyby zasługi jego, nie miało się dostać z jej strony nic przyjacielskiej życzliwości, tylko jedynie, zmieszana z odcieniem poważania zimna grzeczność, jaka się należy nauczycielowi i księdzu.

Gdy przyjechali, przywitała męża pełnym godności pocałunkiem, co mu się musiał wydać jak dotknięcie kamienia, a księdzu lekko skłoniwszy głowę wskazała miejsce.

Że zaś pierwszej czytała dla niej głośno francuzka guwernantka i jeszcze nie była skończyła do rozdziału, kazała jej ciągnąć dalej, nie turbując się wcale o nowo przybyłych i dopiero kiedy nadeszła godzina, o której zwykle pijali herbatę, nalewać zaczęła z wielką flegmą w filizanki, każdemu po kolei podając.

Ta oziębłość obejścia, sparaliżowała humor Kazimierzowi. Dla rozerwania myśli, zaczął w bliższą wchodzić znajomość ze swoim przyszłym uczniem. Był to chłopczyk trzynaście lat mający, z bystrem spojrzeniem, otwartem czołem, co zdolności i łatwość pojęcia, obiecywać się zdawały.

— Oto są moje dwie córki, którym religią i język polski wykładać będziesz, kochany księże, rzekł ojciec.

Obie panienki ceremonialnego dyga

zrobiły, starsza z napuszoną miną podobna rzutem do matki, druga nielicząca lat piętnastu spojrzała na niego swemi cudnie pięknemi oczyma, które pełne ognia i powabu, wyglądały z pod długiej rzęsy, i zaśmiała się, mówiąc po francuzku. „Taki ksiądz młody, jak to zabawne.

Choć ją ojciec zgromił za niestosowność postrzeżenia, ona jeszcze długo figlarnie patrzyła w oczy Kazimierzowi. Szczerze mu się też podobała. Zwykle wesołość i naiwność podobają się osobom, których humor tych własności nie posiada.

Upływają dni i lata. Kazimierz rodzinie swojej punktualny posyłał zasiłek. Wiedział że to najlepszy dowód przywiązania, jaki im dać może i że oni innego nie wymagają. Donosił mu wuj, że jego ojciec pije coraz więcej i

mimo większych dochodów zawsze długi robi. Z żydem karczmarzem w ciągłej nieustającej wojnie. „Cóż to Żydzie (oto słowa jego które w liście przytoczono) nie poborgujesz mi? Alboż to nie wiesz że ja mam syna co żyje za pan brat z Książętami, hrabiami i za mnie zapłaci choćby sto dukatów.

Nie przysyłaj mu tak dużo, dodawał na końcu przezorny wujaszek, on to tylko traci, a ty lepiej żebyś schował na przyszłość.”

Przyszłość! Kazimierz bynajmniej o niej nie myślał. Jemu tak dobrze teraz było, tak przywykł do osób które go otaczały, że już zdawało mu się, nic odmienić się nie może i tak zawsze zostanie. Nawykły do umysłowego zatrudnienia, lubił pracować ze swoim uczniem, który godnie odpowiadał jego staraniom. Chłopczyna będący dotąd

w ręku cudzoziemców, chciwie uczył się języka i historyi swego narodu.

— Jak to być może, mawiał często żebym ja tego dotąd nie umiał.

Raz znowu, gdy mu o dobroczynności jakiegoś rzemieślnika opowiadano, uczynił uwagę. „Mój Boże — kiedy z niskiego stanu człowiek taki dobry, jakimże ja to być powinienem, kiedy jestem bogatym i Księciem.

— Zapewne, odrzekł nauczyciel, stwórca więcej wymagać będzie od tych którym dał więcej.

Podobne rozmowy miewały miejsce szczególnie na przechadzkach, które w lecie rano i wieczór, zimą zaś w południe odbywali. Czasem oboje księstwo, Księżniczki z oehmistrzynią i wiele obcych gości razem z młodzieńcami wychodzili. Czasem kilka odkrytych pojazdów zajęchało, robiono wyciecz-

kę w dalsze strony, do jakiego lasku, ogrodu lub pasieki, aby piękne miejsce widzieć, lub gdzie do źródła sławnego smakiem swęj wody dojechać. Różne wymyślano rozrywki, bo w ślicznym pałacu Wurły gości zawsze pełno i obcych i z familii nie raz po kilka tygodni z całym domem siedziało.

• Księdza Bobińskiego lubili wszyscy. On czuł także ogólną dla wszystkich życzliwość, niewypowiedzianie ze swego losu kontent, czasem tylko westchnął cicho, patrząc na te wykwintnie strojnie wypachnione kobiety, które z puklami swych włosów, z jedwabiem i koronkami swych sukien, piękniej jeszcze wyglądały jak owa Magdalena w obrazie, jak wszystkie święte wymarzone przez niego. A te okrutne kobiety zawsze go używały do swego grona.

„Księżę Bobiński będziesz się z nami

w gry bawił. Księżę! towarzysz nam na przechadzkę. Księżę! daj mi rękę bom zmęczona.

To wygodna figura dla kobiet, ksiądz. Czy stary czy młody, zawsze są przekonane że niebezpiecznym być nie może, że na nie obmowy nie ściągnie, korzystają zatem z niego, na wszystkie strony. —

Biedny Kazimierz cierpiał męki Tantalą jak oczki syren słodkie spojrzenia na nim zatrzymywały, jak ich białe rączki spoczywały na jego ramieniu. On w nich, wielkiej czci swemi dwudziesto-pięcioma latami nie wzbudzał, a jednak nie był dla nich młodym człowiekiem, był tylko księdzem.

Ze wszystkich, księżniczka Ewelina z największą względem niego była powagą, i traktowała go trochę zgóry. Ona już i siostrze i drugim czyniła u-

wagę, że taką szlachtę zdaleka od siebie trzymać należy, bo oni gotowiby łatwo się zapomnąc.

— Ależ kto ma tyle nauki co ksiądz Bobiński, wart poważania.

— Prawda że podobni mu zawsze z wyższością nauki wyjeżdżają, jednak na co by im się zdała cała ta ich nauka, gdyby nie było wielkich panów, co im za nią dobrze płacą.

Eliza młodsza księżniczka przeciwnie, nawet zbyt poufałą była.— Zganić jej to należałoby się było. Ale cóż kiedy matka za nadto na ochmistrzynię się spuszczała, ochmistrzyni znowu za nadto lubiła siedzieć w swoim pokoju. Panny nie raz same z księdzem odbywały lekcye, a on nieborak dobrze oczy spuszczać musiał, żeby zbyt śmiało nie błądziły po ich odkrytych ramionach.

Raz Ewelina zacięła sobie palec scyzorykiem. Ach krew! i pobiegła do garderoby żeby jej dano płótna na owinięcie. Lizia tymczasem stała za nauczycielem który jej ćwiczenie poprawiał. Trzpiot zawsze, choć już miała lat szesnaście, zawołała raptem.

— Oho! mości księżę, już ci zarosła tounsurka, pan się chcesz widzieć na eleganta wystrychnąć. Nic z tego nie będzie.

I wzięwszy nożyczki wskoczyła lekko na pusty kawał krzesła, na którym siedział Kazimierz. Wtem usunęła jej się noga, ratując się uchwyciła Księdza za szyję, a drugim kolaniem na jego kolanach przyklęła.

— Upadniesz Księżniczko, zawołał rzucając pióro i jego ręce kibić dziewczyny objęły. Przytrzymał ją, lecz rąk oderwać siły nie miał. Zawsty-

dził się samego siebie... zamknął oczy. A ona ciągle ze śmiechem przesuając swe paluszki po jego głowie mówiła: „Wartoby obciąć te długie włosy, ale nie, szkoda, bo ładne takie czarne jak moje — o!

I przychyliła się aby przyrównać swe loki do włosów młodzieńca. Zdawała się tak niez mieszana, tak wesoła dziecinnie, a jednak odskoczyła na środek pokoju, jak usłyszała nadchodzącą siostrę.

— Wiesz co, chciałam księdzu wyciąć tonsurkę, rzekła do niej żartując, szczęściem że Ewelina bardzo swym palcem zajęta była i niespostrzegła pomieszania nauczyciela. Co jemu się w ten czas działo, pojąć trudno. O! moje Panie, śmiejecie się kiedy nam mówią o strzałach kupidyna, ale wierzcie mi, niektóre wasze spojrzenia zo-

stawiają w sercu, coś tak rozplóminiającego, co tak tkwi, niepokoi, czego się pozbyć nie można, tylko nie jest to raz śmiertelny, ale owszem nowe wlewający życie. — Kazimierz który mniemał się być bezpiecznie osłonięty tarczą kapłaństwa poznał teraz, że kocha podobnie jak i każdy młodzieniec co dwudziestkę minął, silnie tak jak się kocha po raz pierwszy, a okoliczności ze wszech stron upór nam stawiają.

Uśpione dotąd uczucie, silnie zawrzało w duszy młodego księdza, skrzyżował ręce na piersiach przerażony gwałtownem sercem biciem. Schronił się do swego pokoju, zaczął się modlić:

„Mój Boże!.... odwróć to odemnie....
Lecz nie wszystko jednym trybem iść musi w stworzeniu. Stwórca na prośby jednego grzesznika nie odmienia od wiecznego porządku.

On co nawet na prośby syna był głuchy, kiedy w tym natura ludzka przemogła i wołał także. „Ojcze! odwróć.....

Pasuj się z namiętnością młodzieńcze, jesteś w wieku walk i pokus. Nagroda tobie jeśli z téj próby wyjdiesz zwycięzki.

— Więc ja kocham kobietę, ja! mówił do siebie Kazimierz. Oh! wyrwać muszę tę myśl co mi duszę pali... ale gdyby ona.... ona! ah! ona bogata księżniczka a ja.... ksiądz!!!

I obiedwiema rękami uderzył w stół z wściekłością.

Jak się odmienił ów kapłan łagodny. Czasem poryweczy, to znów ponury, małomówiący, wychudły policzki jego, oczy bardziej jeszcze wklęsły. — Czyżby wypowiedzieć można wszystkie gwałtowne projekta które mu przez

myśl przebiegały. Były tam i różne śmierci sposoby i chęć ucieczki i o wspólnem życiu zdala od ludzi marzenie. — Oh! nic nie powiem z tego wszystkiego. Nigdy nas nie boli mocno to, co nas nie dotyka, wy byście się śmiać gotowe moje Panie, lepiej więc same wystawcie sobie męki, cierpienia biednego Kazimierza i pożałujcie go trochę.

Rok długi minął, księżniczki ukończyły nauki, Wurła jeszcze więcej uczęszczaną była. Dwie panny bogate, utytułowane, spokrewnione z najpięszemi domami w kraju, miały w sobie dla kawalerów okolicznych wiele przyciągającej siły. Zjeżdżali się i z dalszych stron panowie, niszczący majątek na sute liberye, konie, pojazdy, aby wydać się, zaimponować na oko, i łatwiej zajechać do serca której Księżniczki i szkatuły Księcia. Gościnnie

też i po pańsku byli przyjmowani, jak zwykle w domach dawnych magnatów polskich. Ewelina swoim sposobem harda, napuszona, w rozpacz wprawiała swoich wielbicieli. Eliza śmiejąc się, żartując ciągle, nikomu wyraźniejszych łask nie okazywała. Choć drobnego wzrostu, miała ona wspaniałą postawę. Jej oczy były z rodzaju tych, co to zawsze piękne, błyszczące, bo fizycznie pięknego kształtu, nie ożywiają się malując duszy wrażenia, ale zawsze lśniące, ogniste spojrzenia rzucają. — Wiedziała ona o mocy tych spojrzeń, bawiła się, jak kogo wprawiły w pomieszanie, jak komu zostawiły jej obraz nie zatarty. — Ona to dostrzegając, rozumiała zawsze, lecz jej życ potrzeba było wśród takich tryumfów, głos próżności serce w niej głuszył. — Niepodobna była, aby tak dziwne teraz

księdza z nią postępowanie nie zwróci-
ło jej uwagi. Czasem siedział po go-
dzinie wpatrując się w nią z uwielbie-
niem, to znowu gdy przypadkiem zo-
stali sami uciekał wyraźnie przed nią.
Niekiedy twarz jego miała taki wyraz
smutku, rozpaczy, że ten widok łzę by
wycisnął czulej kobiecie, ale Eliza mó-
wiła do siebie z lekceważeniem: „Ha,
ha, ha! i ksiądz także!”

— Uważaj księżę Bobiński, mówił
raz do Kazimierza Konstanty L... mło-
dy człowiek, który dla niego był bar-
dzo grzeczny.

Nad księżniczką Elizą to podobno
dawnemi czasy odprawiano exorcy-
zmy, miano ją za czarodziejkę. Patrz
jaki ogień miota swemi oczyma, a w o-
koło niej jaki tłum nieszczęsnych, o-
czarowanych. Eliza niezmiernie lekka
kobieta. Jej siostra co za różnica.

— O! ta, to znowu wygląda jakby chodzący portret familijny.

— A fe, i tyś złośliwy księżę, nie myślałem. Ewelina nie zasługuje na przycinki. Jest zimna na pozór, prawda, ale za to choć nie poufała z nikim, dla każdego doskonale grzeczna, przyznaj— Ona jest wyższego tonu kobieta, wielka pani w całym znaczeniu tego wyrazu. Ale Lizia jak uważam w większych u ciebie łaskach.

Zczerwienił się biedny ksiądz, rozumiał że całą jego tajemnicę odgadnięto. Oczu podnieść nie śmiał, gdy w tem zagadniony od kogoś drugiego poszedł dalej Konstanty. Jemu nawet na myśl nie przyszło żeby się mógł kochać, ksiądz!

DWIE DOBRANE PART.

Księżna z córkami wyjechała do Warszawy na zimę, aby im świat pokazać, czy też może dla pokazania ich światu. Młody Książę Paweł pozostał w Wurle ze słabym nauczycielem.

— Na Boga co ci jest Kapelanie? wybladłeś, wynędzniałeś, wyglądasz jakbyś z wygnania wracał, mówił sam Książę.

— Ksiądz Bobiński tak mało je, dał Polcio.

— Otóż to! i ma dobrze wyglądać. Może ci nie do smaku gotują? każę ja kucharzowi codziennie do ciebie przychodzić, dysponuj sobie co sam chcesz, a bądź mi tylko zdrow, kochany Kapelanie.

Kazimierz podziękował za troskliwość, lecz ani ciągła dobroć Księcia, ani wszystkie łakocie kucharskie, humoru i apetytu przywrócić mu nie mogły. —

Nadeszła wiosna, Księżna wrócić miała do Wurły. Mówiono że Ewelina za mąż idzie, sam nawet Książę potwierdził tę wiadomość Kazimierzowi. —

— Zgadnij też, kapelanie, za kogo? oto za tego kochanego Konstantego. — Pocziwy chłopiec jeszcze tu się w niej

zakochał, pojechał za nią do Warszawy i jak pisze moja żona tak jej się przy podobać umiał, że mu pozwoliła się oświadczyć. Daliśmy na ich związek zezwolenie, jak pisze moja żona, gdyż Konstanty choć nie wielki bogacz, ale za to pięknego imienia. Będzie dobrym mężem dla Ewelinki, bo to arystokratka dziewczyna i harda. Pamiętaj jak mówiła zawsze, że jej mąż słuchać musi. —

— Kiedyż wraca Księżna?

— Za miesiąc. Wiesz eo? wyjedźmy wszyscy naprzeciwko niej do Kowna. — Będzie kontenta.

— Jak to dobrze mój Ojczy, jeszcze nie byłem w Kownie, zawołał młody Paweł.

— Bądź cierpliwy synu. Nie długo w piękniejsze strony pojedziesz daleko, gdzie za granicę, tylko pierwszej nauki

skończyć trzeba. Ale cóż księżę Bobiński, będzieszże nam do Kowna towarzyszył?

— Z przyjemnością odrzekł Kazimierz, którego dotąd głosu znaleźć nie mógł, tak go gwałtownie radośna myśl opanowała: ja ją zobaczę!

Rumieniec okrył jego lica, aż to dostrzegł Księżę, bo zawołał wesoło: „Ej coś mi dzisiaj lepiej wyglądasz Kapełanie.

Wybrali się do Kowna. Stanęli tam właśnie tego samego dnia którego przyjechać miała księżna.

Kazimierz wyszedł zaraz obejrzeć miasto, sam bo jego wychowaniec był drogą zmęczony. Błądził tu i owdzie, znalazł się nakoniec przy ujściu Wilii do Niemna, na tej zachwycającej dolinie Kowieńskiej. Przypatrując się Niemnowi który wążko zamknięty, w swe

gorzyste krzakami berberysu zdobne brzegi, dążył i dążył do morza, przypominał sobie Kazimierz, jak niegdyś marzył także nad brzegami Narwi, przeszedł myślą całe swe życie, zastanawiał się nad tem uczuciem, które, już dwa lata blisko, jak serce jego opanowało. Nadaremno chciał je wykorzenić, ta walka znękała go, wycięczyła siły, a miłość została, silniejsza jeszcze. I teraz, napawając się miłym majowem powietrzem, tworzył tylko rozkoszne marzenia, zapomniał o ślubach kapłańskich, zdało mu się, że tak dawno ubóstwiana Kobięta, jest mu wzajemną, że ta woń kwiatów to zapach jej loków, co się do jego twarzy zbliżają, jak wtenczas... wtenczas!... ach! co za wspomnienie, była tuż przy nim w jego objęciach.

I Kazimierz wyciągnął ręce jakby te-

raz jeszcze ją trzymał, dał pocałunek powietrzu marząc że do jej ust dojdzie, zmrużył oczy aby złudzenie było zupełniejsze, a w tem 'mieście na Anioł Pański dzwony uderzyły. Kazimierz zerwał się przerażony. Spojrzał w stronę Kościoła ze łzami wyrzutu. Te dźwięki wydały mu się jakby surowe przestrogi, jakby okrutne przypomnienie: Tyś ksiądz! tyś ksiądz!

Zaledwo wrócił, przyjechała Księżna z córkami. Przywitano go oziębło, na prędcie Księżna była jakoś w złym humorze, panny milczały, Książe im wszystkim w oczy patrzył.

— Mam z tobą pomówić mężu, rzekła Księżna zaraz po herbacie. Przeszli do drugiego pokoju przywoławszy za sobą córki.

Polcio wyszedł na balkon i na ulicę spoglądał, a ksiądz pozostał przy sto-

liku kończąc zwolna swoją filiżankę. —

Głos Księżny nie zwykle wzruszony, bo z piskiem, krzykiem coś wyrażający, obił się o jego uszy, potem donośniejszy głos księcia dał te słowa zrozumieć.

— Ależ moja córko, chociażby on tam był i Księciem jak powiadasz, czyż to dla ciebie partya?

— Tak... iść za niego... o tem jeszcze nie myślałam, mój Ojczy, wiem tylko że teraz go kocham, odpowiedziała lekko, ale dobitnie Eliza.

I znowu zapiszczała, zaskrzeczała jej matka, a ksiądz zerwał się z miejsca, biegł na dół przerażony tem, co usłyszał niechcący.

Zszedł do sieni, już się ściemniało, oparł się o drzwi wchodowe, głowę obiedwiema ujął rękami czoło na powiew powietrza wystawił.

Tak stojąc w milczeniu usłyszał nieznanomy głos pytający się po rossyjsku, dwóch służących co stali przed domem i rozmawiali: „czy przyjechała Księżna?”

— Już od godziny odrzekł Księcia kamerdyner.

Ksiądz wychylił się trochę i ujrzał młodego officera kształtnej wysmukłej postaci, z bystremi oczyma, z pięknymi twarzą rysami, ale niemającemi nic w sobie Europejskiego.

— Aha! zawołał lokaj Księżny, skoro odszedł nieznanomy, to ten sam officer, który tak często do nas w Warszawie przychodził, a któremu Księżna pani zawsze odpowiadać kazała że jej nie ma w domu.

— A on zawsze przychodził?

— Przychodził bo był ktoś co go lepiej przyjmował.

Tu zaczęli szeptać między sobą, tak cicho że ksiądz nic dosłyszeć nie mógł, aż znowu lokaj rzekł głośniej:

— Co też to Karolka pieniędzy zato się nabrała, i mnie kilka razy się dostało.

— Mój Boże! mówił kamerdyner z przerażeniem i Księżna nic o tem nie wiedziała?

— Nic a nic, nie domyślała się niczego. Księżniczka młodsza powiedziała czasem że jest słabą, Księżna ze starszą gdzie wyjechała, a tu zaraz pan officer z wizytą. W ten czas był zawsze przyjętym.

— I nie zameldowałeś o tem Księżnie?—

— Co mi się tam do spraw pańskich mieszać. Księżniczka Eliza dobra dla mnie i dobrze płaci. I potem, żeby kto miał mieć grzech na sumieniu, to Ka-

rolka. Ona to wie o wszystkim, opowiadała mi tylko pod sekretem.

Dzwonek z pokoju dał się słyszeć, pospieszyli obadwa sługusy i minęli księdza nie postrzegłszy go. A ten stał osłupiały nieruchomy. Już drugi raz podsłuchał to, o czem byłby wolał nie wiedzieć wcale. Zamknął się w swoim pokoju, noc całą strawił bezsennie, ta okrutna myśl że ona kocha innego, mózg mu gniotła, na sercu ciążyła jak kamień.

Na drugi dzień ledwo słońce wschodzić zaczęło, Kazimierz udał się znów nad brzegi Niemna. Chciał się rozerwać, ukryć pomieszanie, smutek, żeby przy śniadaniu pocziwy Książę go nie obsypywał swemi bez końca pytaniami, o zdrowie. Chodząc tak z pół godziny spotkał dziewczynę z garderoby Księ-

żnej Karolkę. Zdziwiony zapytał co by tu miała do czynienia.

— Szukam kwiatków dla Księżniczek.

Ksiądz poszedł dalej, gdy w tem, ledwo swym oczom dając wiarę, ujrzał Księżniczkę Elizę prowadzącą się pod rękę, z owym wczoraj widzianym przez niego officerem.

Cofnął się i chciał wracać, domyślając się że jego przytomność nie w smak pójdzie obojgu.

Oficer też skoczył w bok po za krzaki, rozumiejąc że go niewidziano jeszcze, a Eliza zbliżywszy się do księdza, rzekła z udaną spokojnością:

— Jak to dobrze żeś przyszedł szanowny księżę Bobiński, odprowadzisz mnie do domu.

Wzięła go za rękę i gwałtem prawie pociągnęła ku drodze do miasta. Ka-

zimierz więcej jak ona zmieszany szedł milcząc.

— Co za prześliczna okolica rzekła Eliza po chwili, aby go zaczepić.

— Prawda — ale nie warta aby się dla jej widzenia narażać na obmowę. Tak rano, gdyby cię kto spotkał księżniczko...

Eliza podniosła głowę i rzuciła na księdza spojrzenie zimne, harde, którem wyrazić chciała: „Co za śmiałość robić mi uwagi. Potem przypomniawszy sobie zapewne, że lepiej z księdzem zostać w dobrej harmonii, rzekła łagodnie:

— Lubię ranne przechadzki, wyszłam więc z Karolką i jak ci mówiłam, księżę Bobiński kontenta jestem że pana spotkała i wracać będę w miłym jego towarzystwie.

I pogłaskała go po duszy słodkiem,

pieszczotliwym cudnych swych ocz spoj-
rzeniem.

Ksiądz zamilkł znowu, domyślił się że w mówić w niego chciała, jako on nie widział Oficera, co jej towarzy-
szył.

— Gdzieżeś to była tak rano Li-
ziu? zapytała jej matka surowo, gdy
wrócili.

— Ach mammo odpowiedziała z po-
śpiechem, jakże wdzięczną jestem księ-
dzu Bobińskiemu, pokazał mi śliczne
miejsce tam gdzie Wilia wpada do Nie-
mna, co za widok mammo!

Karolka była z nami, jaki piękny bu-
kiet dla ciebie mammo urwała.

— Jak ty możesz Liziu, rzekła jej
siostra, takie dalekie robić przechadzki,
mnieby te zamęczyło zupełnie. I je-
szcze wstać tak rano!

— Prawda dodał ojciec, żebym miał

nawet zobaczyć owe sławne wiszące ogrody, tobym nie wstał o czwartej godzinie. No zabierzmy się do śniadania i ruszajmy, gdyż Konstanty pewno na nas czeka w Wurle.

W rzeczy samej, już zastali Konstantego :

— Żebyście Panie wiedziały, mówił raz, śmiejąc się, narzeczony Eweliny, jak mnie nudzi ten Edward Bodowski, żeby mu wyjednać pozwolenie bywania w Wurle; jest on jednym z tych ludzi, których wypędź drzwiami, oni wejdą oknem.

— I owszem niech bywa u nas, będzie nam miło oglądać go, rzekła księżna.

— Ma słusność moja żona, mówił nadchodzący książę dowiedziawszy się o co rzecz idzie, z przyjemnością widzieć go będziemy w Wurle.

— Czy doprawdy? zapytał niedowierzającym głosem Konstanty.

Tyle razy odmowną dostał odpowiedź...

— Tak myśmy wtenczas nie życzyli sobie tylu młodych ludzi przyjmować, ale teraz, otwarty dom prowadzić będziemy.

— Tak, tak, powtórzył znowu książkę, a pan Edward Bodowski człowiek przyzwoity, przytem bogaty.

— Och! to prawda że bogaty, mówił Konstanty z lekkim przyciskiem, właśnie teraz jeszcze ma proces ze swemi siostrami. Jednej zarzuca że wzięła więcej jak się podług prawa należało, druga znowu wydziedziczona była przez rodziców za małżeństwo wbrew ich woli zawarte; Edward też ściśle się pilnował, żeby jej nic nie dać. Nieszczęsna! zostaje w nędzy.

— Słusznie jest ukarana, za nierozsądny związek wyrzekła księżna uroczyście.

— Lecz to nie brat karać ją był winien, gdzież ona ma szukać przytułku, kiedy jej mąż ubogi umarł i nie nie zostawił, a rodzony brat z nią się procesuje, zarzucając że po matce wzięła jakieś tam kilka tysięcy.

— Tak to się dzieje w interessach, mówił książę z westchnieniem, wy dzieci o tem wyobrażenia nie macie.

— Księżniczko Elizo, zagadnął Konstanty żartując, a jak się Edward o pani rękę oświadczy?

— Jabym nie była przeciwną temu powiedziała księżna.

— A ja wymówię sobie przy intercyzie, żeby pan mąż skąpym nie był, dodała Eliza z głośnym śmiechem.

— To być nie może myślał zdziwio-

ny Konstanty, żeby oni doprawdy dać mu ją myśleli. Takiemu panu Bodowskiemu nic dziwnego że się marzy księżniczka, ależ oni nie zechcą.

Jednak pan Bodowski został bardzo grzecznie przyjętym w Wurle. Pyszny że się przecież dochrapał tego czego tak pragnął, w potęgę swoich pieniędzy ufny, zaczął się na dobre brać do księżniczki Elizy. Ona czy to z rozkazu rodziców, czy z własnego kaprysu, nie bardzo się wzdragała, i nie wyszło roku, a obie księżniczki zostały mężatkami.

Starsza, zawsze jednakowa, traktowała męża z lekceważeniem, sądząc że mu zrobiła wielkie szczęście, zostawszy jego małżonką. Zimna, krzywiąca się, dumna, sobą jedynie zajęta, mówiła zawsze. „W moich dobrach kazałam zrobić to, odmienić owo! Jakby chcąc

co chwila dać uczuć mężowi co jęj za-
wdzięczał. Oj! biednemu Konstante-
mu dał się we znaki ten typ wielkiej pa-
ni, który tak dawniej uwielbiał! Ale
on zawsze pełen delikatności dla żo-
ny, ótaczał ją tkliwemi staraniami,
z cierpliwością znosił wszystkie kwa-
sy, cierpkości humoru, do jęj gustu
stósować się starał, choć co tylko on
lubił, ona już nie nawidziła pewno.

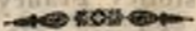
Eliza to znowu w inny sposób żyła
z mężem. Zapewniwszy sobie ze swe-
go majątku dochody używała ich swo-
bodnie, trwoniąc po różnych stolicach.
Jednak Edward nie był tak dobrodu-
sznym, jakby się wydawać mogło. —
Prędko, często niegrzeczny w obejściu
się, umiał mocne, a nawet grubijańskie
słowo żonie powiedzieć. Szczęściem
że ją to bynajmniej nie dotykało, uni-

kała tylko starannie żyć z nim pod jednym dachem. On do dóbr przybwa; ona wyjeżdża do Paryża, a powiada żeby chciała być w Wenecyi.

On nareście wywiedziawszy się o jej pobycie w stolicy Francyi, pospiesza tam aby przedstawić żonie że takie podróże na wielkie wydatki narażają, gdy w tém doktorzy jak namówieni, rozkazują jej jechać do jakich wód Niemieckich. O! żeby nie jej familija, byłby może umiał Edward z nią postąpić; ale cóż, chociaż czasem dobrze głos podniósł, i dopominał się o prawa swoje, ona albo umiała go ułagodzić pozorną uległością, albo też zbywała go śmiechem, żartami, i znalazła w tém tylko zabawienia się sposobność.

A jednak były to podług świata bardzo stósowne małżeństwa. Nie raz widząc ich w salonach tak przyjacielskich

względem siebie, niewiele różniących się wiekiem, wzrostem, majątkiem; mówiono: „jakie dobrane pary!” i winowano rodzicom, szczęścia dzieci.



PROBOSZCZ.

Przed porządnym drewnianym domkiem, na ławie, niedaleko której kwitły bzu krzewy, siedział kapłan łagodnego, spokojnego oblicza najwięcej lat trzydzieści mający. To proboszcz tej parafii, Kazimierz Bobiński. Książę dotrzymał obietnicy, po ukończeniu nauk syna, dał mu prezentę na najlepsze w swych dobrach probostwo, bo przeszło pięćdziesiąt poddanych liczące i ciągle go

przyjaźnią swoją zaszczycał. Kazimierz nie był już owym zapalonym młodzieńcem pełnym marzeń, z gwałtowną w sercu miłością. O! z tej już wylęczony od dawna. Czy mógł szlachetny młodzieniec zajmować się kobietą, która kochając jednego, o małżeństwie z nim nie pomyślała, a później ślubowała wiarę drugiemu nie kochając go. Już po tém spotkaniu nad Niemnem ostygł był zapal Kazimierza, zaczął rozważać roztrząsać postępowanie Elizy, różne czynić domysły z tego co słyszał od służących i czego dosłyszeć nie mógł, wziął ją sądzić, a sądzić surowo. Czuł do niej żal za dwuletnie cierpienia swoje, za to że jego najśłodsze złudzenia zawiodła, on ją aniołem marzył! Z rozpaczą długie zaślepienie wyrzucał sobie i pienawiść, wzgardę powziął ku ubóstwianej, tak długo kobiecie. Lecz gdy

ostygł ze wzruszenia, uczuł że nie miał prawa nikogo potępiać, on, co sam przewinił tak wiele, co nie raz podczas Mszy obrządku więcej o niej jak o Bogu myślał. Przypomniał sobie słowa Chrystusa: „Kto jest ten między wami, któryby był bez winy niech pierwszy, kamień na nią rzuci.” święte słowa uczące wyrozumiałości, tego pierwszego cnotliwych przymiotu. I przebaczył, odtąd stał się spokojniejszym, lepiej pojął obowiązki powołania swego. Zostawszy proboszczem, stał się dobroczyńcą poddanych, utworzył im życie ile możliwości szczęśliwe, trudów i poświęcenia ze swęj strony nie szczędząc, i parafianie Ojcem go nazywali. Unikał licznego towarzystwa, mało bywał w pańskich salonach, choć go ze wszech stron proszono, nie grał w karty, schludny ale nie wykwintny

w odzieży, nie wymyślny w jadle, ani też w napojach, używał ich umiarkowanie. Słowem, umiał być tak różnym od wszystkich, tak kapłanem prawdziwie, że choć młodego, otaczano go głęboką czcią i uszanowaniem. Nie mieszał się w sprawy świata, zjawiał się tylko między ludźmi aby nieść pociechę, lub spokój rozszerzać.

Ojciec jego już umarł, brat się ożenił, siostry za mąż powychodziły, Matka mieszkała przy nich, i mimo prośby Kazimiérza, nie chciała do niego przyjechać, mówiąc: żeby jej smutno było oddalić się od stron swoich. Bolało to niezmiernie Kazimiérza. Był by tak szczęśliwy mieć ją przy sobie, otaczać wygodami, uszanowaniami i wzajemnie odbierać od niej przywiązania oznaki. Jemu jest przykro żyć tak samemu. Wynajduje sobie różne

zatrudnienia, założył szkółkę, ma stajanie o polach, o ogrodzie swoim. I teraz właśnie tylko co wrócił od przeglądu swego małego gospodarstwa. Wszystko w niem porządku się odbywało, bez klątw dozorców i narzekań pracujących. Proboszcz zmęczony nieco usiadł na ławie, i używał z przyjemnością, miłego zapachu krzewów, które najpierwsze, za nadejściem wiosny, zdobiły bukietami jego podwórze.

Wtém z poza domu, na pięknym wierzchowcu, wyjechał szybkim pędem dorodny młodzieniec. Był to dawny uczeń jego. Zeskoczywszy i oddawszy konia, z uszanowaniem i uczuciem Księdza uściskał. Wypytywał się troskliwie o zdrowie jego, nareszcie zacząwszy mówić o sobie, rzekł: —

— Mój kochany proboszczu, co ci

powiem, chcą mnie wysłać za granicę,
a ja nie chcę jechać.

— Dla czego? zwiedzić obce kraje,
musi być rzeczą zajmującą. Zresztą
kiedy rodzice życzą sobie tego...

— No życzą, ale przecież nie gwał-
tem każą, ja zaś im powiedziałem że
nie pojedę, aż się ożenię. Do War-
szawy to co innego, mogę i przyszlą
zimę tam przepędzić. Będzie też Ewe-
linka z mężem. Ale jechać gdzie da-
leko samemu, to mi się nie podoba.

Możeby tęskno było. Jak się oze-
nię, to pojedę, wtenczas nas będzie
dwoje, a ja tak będę kochać moją żo-
nę. Moja żona dobrą, piękną będzie,
kwiatkiem, co mi życie ozdobi — musi
być uboga, ja ją dopiero zrobię wiel-
ką panią, otocze ją wymysłami zbytku,
staraniami które mi poda miłość. Bo
żeby była bogata cóż bym jej dał, do

czego by nie była przyzwyczajoną? O! moja żona, kiedyż znajdę tego anioła, co mi ma towarzyszyć w życiu. Jak to słodko mieć dobrą kochaną żonę. Mógł ucałować jej oczęta, mógł przytulić do siebie śliczną istotkę.

— Trzpiot zawsze, wyrzekł ksiądz poważnie.

— O! nie księżę, nie, ty tego nie czujesz obrazu.

Tyś ust cukrowych lubój, nie dotknął ni razu, wyrzekł Paweł, co raz bardziej zapalając się słowami swego ulubionego poety.

— Tak, tak, dodał, po chwili, zobaczysz proboszczu, muszę wynaleść taką kobietę, jaka się przesuwa w śród myśli moich, odkąd czuć zacząłem... znajdę ją, muszę ją znaleźć... Ale do żadnej z moich siestr niepodobną.

Gdyż między nami mówiąc, ty wiesz

proboszczu, Ewelina kwaśna, grymaśna, prawie w oczy temu biednemu Konstantemu powiada że poszła za niego dla imienia.

Lizia zaś wesoła, miła, prawda, rzecze dalej wzruszając ramionami, a jednak nie, i z taką zgodziłbym się nie mógł.

Wpadł w zadumanie, a ksiądz nie przerywał mu bynajmniej, on myślał wtenczas, w rzeczy samej muszą być różne od nich kobiety, z kochającym sercem, z czystą anielską duszą, te może równie skazane podobnych sobie nie napotykać na ziemi, błędzą samotne, stęsknione.

— Otóż i ściemnia się, rzekł Paweł, trzeba mi wracać. Zegnam cię szanowny mój Nauczycielu. Nie zapominaj też mnie odwiedzać, wszak i ja jestem,

— 31 —
jedną z owieczek, twojej zawsze potrzebujących opieki.

Wskoczył lekko na konia i już był znikł wkurzu tumanie, a jeszcze ksiądz śledził go pełnym przywiązania wzrokiem, z cichem życzeniem w głębi serca. „Obyś był szczęśliwy!” z powątpiewaniem wstrząsł głową, i opuścił ją na piersi. Był niedowierzający, jak zwykle ci, co w życiu smutnych doznali zawodów. Szelest nieśmiałego kroku obudził go z zamyślenia.

— Czego chcesz? pytał stojącego sługi, który mu był dany jeszcze od Księcia skoro tylko na Litwę przyjechał.—

— Ota księżę dobrodzieju, chciałbym prosić... chciałbym... dać na zapowiedzie.

— Więc się chcesz żenić?

— Z pozwoleniem waszém, mój do-

brodzieju. Juścić i kuczno człowiekowi tak żyć samemu. Przed rokiem pono jeszcze o tém nie myślałem, ale teraz jakieśmy się polubili z Helenką córką Stefana.

— Dobrze, dobrze, mój kochany, w pierwszą Niedzielę zapowiedzie twoje wyjść mogą. O nic się nie turbuj, już ja pomyślę o weselu i o chacie dla was.

Skłonił się sługa i odszedł, uściskawszy kolana proboszcza, a ten smutne oczy z wymówką podniósł ku Niebu. —

— Mój Boże! myślał, wszysey upatrują szczęście w kole rodziny, szukają przywiązania drugiej istoty coby z nimi ciężar życia dzieliła. Dla czegoż ten co pełni służbę Twoję, sam jeden na świecie być musi? uśmiérz Panie ten smutek co mnie ogarnia, spraw niech

wszystkie myśli i uczucia moje do ciebie się jedynie odnoszą. Nieco uspokojony powiódł około siebie oczyma. —

Już się było dobrze ściemniło. — Kilka małych siérot, które wychowywał, skończywszy zatrudnienia swoje, biegały po podwórzu wesołe, radosne, nie myślące jeszcze o dalszem życiu i przygodach jego drobne dzieci, którym tak dobrze teraz było. — Stara Leonowa która niedawno jedyną córkę straciła, nie śmiałym krokiem zbliżała się ku proboszczowi, zapewne w jego słowach szukać pociechy. — Czeladź wybierana z pomiędzy najuboższych i najliczniejszych rodzin, pokończywszy robotę, wesoło zbierała się na wieczerzą. — Byli i starzy i młodzi. — Nawet tacy, coby inaczej zebrać byli mu-

sieli, gdyby nie opieka proboszcza, który dając im jakiegokolwiek zatrudnienia, żywił ich i odziewał.

W ogólności najwięcej takich, którzy jemu nie byli potrzebni, a dla których on był opatrzością. „Oto moja rodzina” my, rzekł z cicha Kazimierz, przyglądając się temu obrazowi „opuszczeni, nieszczęśliwi, potrzebujący.”

I znów spojrział w Niebo, ale już z głębokiej wdzięczności wyrazem. — Zdało mu się że mu sam Stwórca wskazał gdzie ma szukać osłody, pociechy, celu życia swego. Już to ostatni raz wspomnienia świata spokojność jego mieszały. Przejął się dokładnie rozległemi obowiązkami, szczytnem powołaniem Kapłana.

II.

DWIE KOLEZANKI. — OBRAZ.

Dziesiąta godzina zrana bije na zamkowym zegarze w Warszawie, dziesiąta też jest na zegarku pana Lipińskiego szwajcara, w Instytucie Alexandryjskim na Miodowej ulicy. Z całą więc powagą swego urzędu, posuwa rękę do dzwonka u drzwi sali wchodowej będącego. Na ten dźwięk, który przeraźliwie i zagłuszająco po dużym odbija się gmachu, otwierają się drzwi wszystkich klas i

zpoza starych, pomarszczonych twarzy profesorów, ukazują się tłumy młodych, śmiejących się twarzyczek uczennic, które wybiegają wesoło na wielką salę, biorą się pod ręce i chodzą w około parami ucząc się, rozmawiając, kończąc zarazem resztki czerstwej bułki z pierwszego śniadania. Jest to dziesięć minut tak nazwana chwila wypoczynienia, która przedziela cztero, lub pięcio godzinne ranne zatrudnienie, chwila o której z upodobaniem myślą te młode trzpioty zasypiając pomimowolnie na lekcji Pedagogiki lub moralności. Zpomędzy tego wesołego grona prawie całą napełniającego salę dwie odzielają się uczennice. — Towarzyszki od lat sześciu, w jednym tygodniu do Instytutu oddane, razem się zawsze uczą, w klasie siedzą przy sobie w jednym śpią pokoju, przez to więc, a bar-

dziej jeszcze przez ten pociąg, który czują do siebie dwie piękne dusze, przez zbliżony sposób myślenia i czucia, stały się przyjaciółkami, a ich przywiązanie mocniejsze jest i trwalsze, jak te zwykle związki które się zawiera na pensyi a o których opuściwszy ją, w krótko się zapomina.

Róża i Teressa, nie były uznane za piękności od tej, tak wielkiej liczby osób, którym koniecznie trzeba cienkiego noska, małych usteczek, do białej rumianej twarzyczki, ażeby ją ładną nazwać, lecz ich szlachetna postawa, pełne wyrazu i pojętności fizognomje, wzhędzwały zajęcie w uważających.

Pierwsza z nich, miała siedmnaście letnia brunetką, z dużemi czarnemi oczyma, z żywą wyobraźnią, dawała się poznać od razu.

Druga wysmukła o rok od niej star-

sza spokojniejszą, zimną, obojętną się wydawała, ale uważając bacznie poruszenia jej twarzy, jej błyszczących się oczu, widząc jak bladła i czerwieniała się na odgłos pięknej i wzniosłej muzyki, jak łzy cisnęły się jej do oczu, a oddech pierś rozdzierał na opowiadanie jakiejś niedoli lub okrucieństwa, łatwo poznać można było, że pod tą pokrywą lodu, ognista dusza i ezule kochające serce się ukrywa. — Ale podczas kiedy nasze pensyonarki chodzą, rozmawiają o bliskim ich wyjściu z Instytutu i udzielają sobie nawzajem przestrogi, rady, postrzeżenia, damy dozorujsze spoglądają na zegarek, i do klas zwołują. Cisną się więc młode uczennice na swoje miejsca, odczytując ze strachem literaturę niemiecką, lub przepowiadając deklamacje rosyjskie.

Wszystkie drzwi się zamykają zno-

wu głęboka panuje spokojność, a my
musimy na później odłożyć poznanie
się z zajmującemi przyjaciółkami.



WIDOKI WYCHODZĄCE

Jeszcze wiałka słońca, Aleksandryjskie
Instytutu. Ruch jakiś nadzwyczajny,
odmienny przynajmniej od zwykłego.
Bo to ostatnie dni Gaudiosa, ju
szal awansu z przedmiotem w nauko
wych dziś jest tak, wstrząsający.
Godzina pierwsza, stoją w ścianach
niepoczekanie, odzyskane promocyje
pochwały, nagrody jak to w roku
ciężkich piskocin i przykładać po

ROZBĄCZENIE,

Jeszcze wielka sala Alexandryjskiego Instytutu. Ruch jakiś nadzwyczajny, odmienny przynajmniej od zwykłego. Bo to ostatnie dni Grudnia, już minął *examen* z przedmiotów naukowych, dziś jest *akt uroczysty*.

Godzina pierwsza, stoją w licznej grupie uczennice, odczytane promocyje i pochwały, nagrody już są w ręku celebrujących pilnością i przykładnem po-

stępowaniem. Idźmyż teraz na górę do kaplicy, krótką lecz gorącą do stwórcy modliwą rok szkolny zakończyć. I parami cicho spokojnie snują się po wschodach młode Instytutu wychowanki. Tak ładnie wyglądają ich szczupłe kibicie w białych fartuszkach i ciemnych z krótkimi rękawami sukienkach. Ta jednostajność ubioru, na pierwszy rzut oka, wszystkie je sobie podobnemi czyni, a jednak różnemi będą te kobiety w świat wyszedłszy! Miło spojrzeniu spocząć chwilę, na tych ciemnych i jasnych główkach, na tych pogodnych licach, którym dotąd łyż nie ujmowały świeżości. Część starszych, w przyległym pokoju, śpiewa hymn dziękczynny. Tępy pełne i tkliwe z ich młodych wydobywające się piersi, niewypowiedzianym urokiem otaczają dziewice. Drugie z nich kłę-

czą schylone u stopni ołtarza, oczki
pospuszczane, lub wlepione w obraz
Matki Boga, ale myśli, o! jak rozmaite.
Jedne błędzą tam gdzieś daleko
pełne ufności, nadziei, w drugich z ca-
łym swym powabem i złudzeniem świat
się przesuwają, świat wymarzony tak
pięknym tak czystym jak te dusze dzie-
wicze, świat, dotąd tylko przez zielo-
ne szyby Instytutu widziany. Tu zno-
wu oko łzą napełnia, wspomnienia zu-
bożalego ojca, Matki cierpiącej, chęć
gorąca bycia im pomocą, tli w szla-
chetnym sercu. A te małe dziewczęta,
co jeszcze wiele klas przed sobą mają
proszą Boga o łatwość w naukach i
możność zasłużenia sobie na względy
przełożonych.

Skończony popis. Rozjeżdżają się
członkowie Rady wychowania, krewni
i znajomi uczennic. Te które kursu

nauk nie ukończyły, jadą Święta Bożego Narodzenia w domu przepędzić, inne zaś, z szóstej klasy, otrzymawszy patenta, na zawsze Instytut opuszczają. Z ich liczby Róża i Teressa przy wyjściu z Kaplicy uchwyciły się za ręce i ściskają je, nic nie mówiąc. Och! im tak przykro że wkrótce rozdzielić się mają, że już nie będą wspólnie dni wesołych pędzić. A świat tak wielki przedział między nimi postawi!—Bo Róża jedynaczka milionowych Rodziców, przez ojca, jedynie dla oddalenia od psującej ją zbyt niemiłobliwaniem Matki, do Instytutu oddana żyć będzie życiem arystokratyczném, życiem miękkim, wśród wygod i zabaw. Teressa zaś, najstarsza z pięciorga dzieci wdowy po zasłużonym w Kraju officerze, kosztem Rządu odebrawszy wychowanie jedzie poma-

gać matce w wiejskiem gospodarstwie i młodszego rodzeństwa kształceniu.

Korzystają więc młode przyjaciółki z tej krótkiej chwili, w której razem, przy sobie iść mogą, w której równemi są jeszcze.

Niepewne, smutne jakieś przeczucie, objawia Teressie że różnica majątku, jest tylko w świecie największą różnicą.

Więcej zatem ma gorzkości jej boleść, mocniejszy żal lat upłynionych. Schodzą do sali.

Hrabina B..... Matka Róży, poleca Córcę, aby się spieszenie wybrała. Zaczynają się więc pożegnania. Naprzód Ochmistrzyni i damom dozorującym za kilko-letnią opiekę i starania Róża z wdzięcznością dziękuje, potem płacząc całuje wszystkie koleżanki, a najczulszą, najukochańszą, ciągle trzyma

za rękę, żeby się nią jak najdłużej nacieszyć. Lecz i z tą nareszcie rozłączyć się trzeba.— Łkania głos im przytłumiają, ledwo: „pisuj do mnie.” — „Nie, zapomnij” — wyjąkać mogły, — i już wytworna, herbami zdobna karetka unosi Różę przez ulicę Warszawy. Płacze i płacze biedna.

— Przestańże moje dziecię, mówi do niej Matka, oczy ci zapuchną będziesz mi brzydko wyglądać. — Jutro pojedziemy z wizytami, poznasz kilka przyjemnych i dobrze wykształconych panienek, i jak zwykle bywa, ta pensyonarska przyjaźń wyjdzie ci z pamięci.— Wsiądźmy tu, dodała pociągając sznur, ażeby kazać stanąć.

Właśnie dziś grają nową operę, będziemy w teatrze, a twoja garderoba wcale nie szczególnie zaopatrzona. Trzeba ci coś ładnego na szyję kupić.

Wchodzą do jednego z pierwszych Magazynów Mód. Ze skrzywioną minką przymierza nasza ex-Instytutka śliczną atlasową mantylkę, białym puszką obszywaną. „Jak Pani do twarzy wykrzykuje pochlebna Modniarka, i mimowolnie rzuciwszy okiem w zwierciadło uśmiechnęła się Róża. Tak też ładnie wyglądała siedząc kilka godzin później w tej mantylce w łoży wielkiego Teatru.

— Kogóż tak uporczywie lornetujesz? pytał młody Henryk zajmującego przyległe krzesło Zygmunta.

— Nie wiesz? to córka Hrabiny B..... która dziś dopiero ukończyła Instytut.

— Doprawdy! Jak ty zawsze masz dokładne wiadomości o bogatych dziewczkach. Ale bo też śliczne, czarne

ma oczy, słowo daję. Zaprezentujesz mnie w tym domu Zygmuncie.

— Kiedy sobie tylko życzyć będziesz, odpowiedział młodzieniec, i powstał a-by się udać do łoży tych pań.

Podczas kiedy Róża z całym jeszcze zajęciem pensyonarki, patrzy na scenę, a grzeczne słówka stojących za nią elegantów obijają jej się o uszy, wróćmy na chwilę na Miodową ulicę.

Teressa także, zaraz z Matką na Wieś wyjeżdża. Już jest za bramą, a jeszcze, z tęsknem żalu uczuciem, wychyla się aby popatrzeć na ten dom, w którym jej upłynęło sześć lat dzieciństwa i upłynęło tak szybko, tak mile, wśród nauk i śmiechu. Teraz zdaje jej się, że tę wesołość, która ją znamionowała, zostawia w spadku koleżankom a z sobą zabięra rozsądek.

Rosądek smutny i zimny, co tak o-

krutnie zdzięra powabną omamień zasłoneę, przez którą na świat patrzy młoda wyobraźnia. Zazdrość prawie u niej wzbudza wspomnienie dawnych współ uczennic, które w tej chwili szalenie, wesoło, z podwieczorkiem w ręku i pustym śmiechem na ustach, skaczą, biegają, tańczą po wielkiej sali. Smutno, okropnie smutno Teressie, łzy cisną się do oczu, ale je tłumi, pokrywa, jakby przeczuwała biedna, że później większe dolegliwości znosić trzeba będzie, boleśnieszze łzy ukryć.

główniej gospodyni, zamieszkałej z Augustyniakiem ————— W kuchni i przedpokoju ruch przeraźliwy, kłaniają się, biegają, a w salonie gości pełno, poważna panuje spokojność, wszyscy mają mówić ochotę, ale, brzo, Bodo! nie ziewają. Gospodarz domu wy <http://rcin.org.pl> Pani

krusze xdaiera powada omanien zar
 slone, przez ktora swiat patrzy mior
 das wyobraznia z Xadnosz prawie u
 niej w budza wspanienienie dawnych
 wspot uczenia, ktorow tej chwili szed
 lenie wesoły z podwiczowian w re-
 kucipustym smiechem nastal, szar
 cas, biegaj, tanecz powielkiej salie
 Zmian, okropnie smilno Teresie, tak
 ciana sie do oczu alpej kumil, pokry-
 wa, jakby przecznowala bledna, ze po-
 kniej wieszka dolegliwosci Xnosie trzy
 ba bedzie, potesniejase tak ukrye, co z
 myslak w, moe na sa zartopoda
 u i wlasnie tak, jak wplywa jej
 drow, wlasnie tak, jak wplywa jej
 nauk i smiechu. Teraz staje sie
 ze te wesołoz, ktora ja znamionowala,
 zostawia w spalek kulankom a z so-
 la zabieta rozadek.

Rozadek smutny i zimny, co tak o

OBJAD PROSZONY,

Dwudziesty trzeci Września r. 183,
dzień Świętej Tekli, imieniny Pani T...
sławnej gospodyni, zamożnej z Augu-
stowskiego obywatelki. W kuchni i
przedpokoju ruch przeraźliwy, klną,
szepcą, kłócą się, biegają, a w salonie
gości pełno, poważna panuje spokoj-
ność, wszyscy mają ziewać ochotę, a-
le, broń Boże! nie ziewają. Gospodarz
domu wyłącznie panami zajęty. Pani

wybiega często do przyległych pokoi, zobaczyć czy dzieci kofitur z ciast nie pozjadały czy świece stearynowe dobrze poprawiane czy nie chwieją się w lichtarzach, lub znowu niełitościwym kluczy brzękiem, śpieszy wydać kucharzowi zapomniane masło i jaja. Goście rozgatunkowani starannie. W jednym rogu sali, na kanapie i fotelach, rozpostarły się Mamy i Ciocie. Pannienki przy fortepianie w małym siedzą półkołu, a daleko w drugim rogu, panowie młodzi i starzy, w różnych humorach i pozycjach. Zabawnie byłoby rozpatrzyć się po szczególnie w każdej z tych fizognomij; lecz żeby w salonach milcząc uważać drugich jedynie, trzeba mieć bardzo małą ilość miłości własnej. Nic łatwiejszego, jak tym sposobem, posądzenie o głupotę, na siebie ściągnąć. Nie wiem, czy podo-

bnego sądu obawa, przeszła młodą z tego towarzystwa panienkę, czy też się rozgniewała na swe niebieskie oczki, które dotąd błędząc po przytomnych najczęściej na pięknej, czarnym włosom ocienionej twarzy młodzieńca spocząć lubiły, ale z mocnym przedsięwzięciem wejścia w rozmowę, obróciła się do młodej mężatki, niedaleko siebie siedzącej.

Zagadła ją kilkoma słowami, lecz próżne były jej usiłowania. Nieszczęsne tak i nie, na pół godzinne odbierała mowy.

Przy tej gadatliwości obstawać uporczywie, byłoby bezkorzystnie zrywać sobie płuca, dla niewdzięcznej. — Znow więc niebieskie oczy z wyrazem znudzenia spoglądać tu i owdzie zaczęły, unikając jednak zatrzymać się na ulubionym miejscu. Ależ moja smętna

blondynko, z pannami koniecznie rozmawiać trzeba, bo te powiedzą żeś dumna, zarozumiała, że chcesz od nich mędrszą udawać. Ona też jakby usłyszała radę naszą, lub dobrym instynktem wiedzioną, pochyła się ku swym rówiennicom, i gradem dowcipnych słówek, ożywia wszczętą półgłosem rozmowę. Przyniesiono śniadanie, chociaż już trzecia godzina i chętnie obiad by się zjadło. Ale fe, to zły ton zupełnie tak wczesny jeść obiad, i chociaż codziennie o dwunastej, to kiedy są goście koniecznie przy świecach być musi. Dwóch więc lokaj, jeden w liberyi, drugi w starym obszernym surducie swego pana, którego nie zdążył Mosiek krawiec przerobić, wnoszą tace zastawione śniadaniem. Zajadając żwawo unoszą się goście nad wybranym smakiem wędzonych ozorów, szy-

nek, pani domu z zadowoleniem się uśmiecha, panowie kosztują alembikowanej anyżówki, z tąd mowa o gorzelniach i gospodarstwie, materya długa, niewyczerpana.

Następnie jednym skokiem prześli do polityki. Słowy swemi wstrząsneli całą Europą, inaczej by to było wszystko gdyby oni w dyplomatycznym świecie pierwsze zajmowali miejsca. Czyny jeniałnego człowieka naszego wieku, nie uszły także ich roztrząsań, uwielbienia, krytyki. Paplą sobie i paplą. Zostawmy ich, kiedy z siebie kontenci, a przypatrzmy się téj oto niebiesko okiej blondynce. Wszak to Teressa wychowanka Instytutu z którą już znamy się trochę. Już rok minął jak mieszka na wsi, już przywykła do gospodarskich zatrudnień, poznała dokładnie otaczające ją osoby sąsiadów, zupełnie

do tej atmosfery, zastosować się umieć, szczęśliważ więc nasza młoda znajoma? Jest ona z liczby tych osób, które rzadko zupełnie szczęśliwemi być mogą. Za nadto uczucie tli w jej sercu, a to źródło prawdziwej rozkoszy, staje się często gorzkich cierpień przyczyną. — Teressa jednak dotąd miłe, spokojne wiezie życie. Kocha czule Matkę, Rodzeństwo, lubi swój ogródek, swojego dużego wyźła, lubi chodzić, biegać po polach. To znowu w las się zapuszcza, goni spłoszone zające, straszy wiewiórki, słucha ptaszków śpiewu, słucha szumu wiatru między drzewami. Zdaje jej się, że jej nic więcej nie potrzeba, a smętna czasem jak gdyby nie dostawało jej czegoś. Do sąsiadów jeździe dla tego tylko, że jechać wypada. Z Instytutu jeszcze bywając w Niedzielę u Rodziców Róży, wyższe pozna-

ła towarzystwo. I tam już uważała o-
 błudy, fałszu wiele, ale to wszystko
 powabnie pokryte grzeczności i dobre-
 go wychowania polorem, mniej zrażało
 młode jej serce. Tu znowu nudziła ją
 długość tych wiejskich wizyt, żadną
 dowcipną nieożywionych rozmową, go-
 gospodarstwem zajmowała się gorliwie
 nie z upodobania ale dla tego, że trze-
 ba było koniecznie, aby być Matce po-
 mocną. Te zaś wieczne i nieustanne o
 gospodarstwie rozprawy, jakby już choć
 w Niedzielę o czem innem pomyśleć i
 pomówić nie można było, nudziły ją do
 niewypowiedzenia. Towarzystwo pa-
 nien, może nie smaczniejsze jeszcze,
 wzniecało w niej obawę aby zarozu-
 miałą nie zostać. Czasem zazdrościła
 im prawie, że myśl o nowej sukni całe-
 mi zajmowała je dniami, a kapelusik
 z Warszawy radością napępniał. Ona

więcej potrzebowała, jęj w tym obrębie ciasno było. Zatrudnienia ręczne w szkodliwej nieczynności, jęj władze umysłowe zostawiała. Zarzuciła czytanie dzieł imaginacyi, które w niej tylko wzbudzały niepokój, chciwie wzięła się do książek naukowych, aby móżdż jako gorącą duszę oziębic, i już zdaje jęj się że zimna, spokojna, nie wierzy w żadne szlachetne uczucie, a najbardziej w miłość. Miłość której boi się, pragnie, nie chce i życzy znowu.

Lecz podczas kiedy my wyłącznie Teresą się zajmujemy u państwa T.... dano świecę i obiad nawet! Solenizantka wskazywaniem miejsc, kobiety od mężczyzn rozdziela, i jakby w kościele sadza jedne po prawej, a drugie po lewej stronie. Teresa przykremit zajęta myślami, nie pomni że te może na jęj wyrażają się twarży. Machinalnie pod-

nosi oczy i znów widzi tego samego na przeciw siebie młodzieńca, a jego spojrzenie taki miało wyraz współuczucia, tak zdawało się być wewnętrznej przyjaznej myśli tłumaczem, że z jakiejś niepojętej rozkoszy zadrżała Teresa, powieki szybko jej niebieskie oczy pokryły, a pierś się wzniosła, jakby z niej dusza wydrzeć się chciała. — I już nie patrzy na niego, bo patrzeć nie śmie, choć pragnie. Bez namysłu, ale wrodzoną kobiecie chęcią, ukrycia pomieszania, wiedziona, obraca się do obok siedzących, mówi z niemi wiele, przyjemnie, jest ujmującą jak nigdy, uśmiecha się tak mile. A w myśli przed oczyma snują się, tkliwe spojrzenie, czarne włosy młodzieńca. Więc ona go będzie kochać biedna, a on czyż pojmie, czyż podzieli to uczucie tak święte i czyste w sercu szlachetnej kobiety.

Jest to młody człowiek który się różnym od innych zdaje. Nie ma lat trzydziestu, ani więc zimnej tego wieku rachuby. Dla pięknej powierzchowności, dobrego wychowania, lubiony w towarzystwach, ale jego serce, nie może znaleźć pomiędzy młodemi znajomemi serca, do którego by przystało — Jest w nim jakaś tkliwość, jakaś harmonia, których oni niepojmują. Tém też zrażony Leopold, unika ich zabaw, a porównanie ich lekkomyślności, z myślami smętnemi i poważnemi, które mu się nasuwają, podwyższa w nim miłość własną. I tu jest jakby nie na swoim miejscu, nie mając upodobań swych sąsiadów, nudnym mu jest ich towarzystwo.

Jedynak bogatych rodziców mógł przez lat kilka bujać po obcych krajach, i niedawno co wrócił w te strony. Teresę pierwszy raz spotyka. Pa-

trząc na wyraz jej twarzy napiętnowany wyższością umysłu, czuje do niej niewypowiedziany pociąg. Jakies wewnętrzne uczucie, mówi mu, że to jest istota która go zrozumie, że już mu nie będzie się zdawać tak samotno na tym świecie. Z całą szybkością młodej wyobraźni, marzy że jest kochanym, szczęśliwym i zapomniał zupełnie, że już od dwóch godzin siedzi przy imiennym obiedzie.

Panie Taliński! wypijże Pan, zdrowie solenizantki, odmówić nie wypada. Temi go słowy z krainy złudzeń przywołał do rzeczywistości, obok siedzący sąsiad. Już bowiem zjedzono zwolna po sobie następujące potrawy liczne, już obniesiono ciasta, galarety, owoce, teraz zaczęły się toasty. I panowie kolejno spełniają ogromny, kwartowy kielich. Jeden duszkiem niez-

trzymawszy się ani razu, drugi z upodobaniem każdy łyk smakuje, inny znowu z czerwonymi oczyma, z zarumienionym nosem, choć się już najadł i napił, ledwo oddychać może, pije jeszcze a niedawno narzekał na obżartość zwierzęcą, bo mu najpiękniejszy wół pękł od wywaru. Z pań jedne się ośmielają, żartują półgłosem, drugie, żony szczególnie, boleśnie na kochanych spoglądają mężulków, przeczuwają bowiem że nazajutrz albo ich ziółkami karmić będzie trzeba, albo też znosić ich bóle głowy, kaprysy. Teressa nie śmie prawie podnieść oczu, ze wstrętem myśli że i on będzie musiał wlewać w siebie upajający napój. Leopold z próżnym kielichem w ręku bierze i stawia butelki, niby wyborem wina zajęty. W tem, na szczęście jego, spada z krzesła w przyległym pokoju, najmłod-

sza pani domu pieszczoszka, i krzyczy przeraźliwie. Wszyscy z przelęknieniem opuszczają swe miejsca a Leopold zdążywszy nalać nieco wody w kielich, przybliżył go do ust jakby resztę wychylał.

Radośnie prawie uśmiechnęła się do niego Teressa i już porozumieli się w tym małym podstępnie.

Po skończonym obiedzie już nie parami jak do stołu, ale hurmem kobiety naprzód, mężczyźni na końcu, wykluwając zęby, przechodzą do bawialnej sali. Już osma blisko godzina. Cóż zrobią z sobą szanowni goście dla zabicia reszty czasu? Oto starzy panowie, jeszcze w jednej ręce filiżankę z czarną kawą trzymając, rozkładają stoliki zielonym sukniem wybite. Joasia córka państwa T.... jakby dla objawienia żądania całego grona panien, zaczęła brzdąkać

mazura. Młodzież umiejąca grać pokoczyła, aby ją wyręczyć... Jedna z przytomnych mężatek nie pozwoliła na to, sama do fortepianu zasiadła, i gra różne Lannera i Nowakowskiego kompozycye, a młodzi płci obojój tańczą zapamiętałe, mimo obcislejszych jeszcze fraczków i bardziej dolegających sznurówek, przez znaczne majonesami, pasztetami figur wypełnienie. Tańczą ciągle i teraz przecie skutkiem tego zmieszania towarzystwa, widać więcej życia w rozmowach, więcej wesołości w śmiechu.

Panny spuszczaają oczy, kawalerów spojrzenia błyszczaą, rozognione ruchem walca i rzęsystemi kielichy, za zdrowie Sołnizantki wychyłonemi.

Nie jedna nawet się odwróci. Czy to skrętność, pomieszanie, czy też posłyszana woń szampa.

Leopold także rozmawia ze swoją nową znajomą. Jakimciś szczególnym trafem prawie ciągle wypada im być przy sobie.

W kole, w figurach, zawsze spotykają się ich ręce. Jednak rozmowa nie bardzo ożywiona. Teresa przerzuca nuty i z pochyloną głową, tak bacznie okładkom się przygląda, że aż jej spytać się bierze ochota, co nagle, tyle pięknego i zajmującego upatruje w różno kolorowych dziwołągach, arabeskach, diabełkach, które otaczają szumne walców tytuły.

— Pani grywasz wiele?

— Jak czasem, ale najchętniej drugich lubię słuchać.

— Tu są wszystkie główne arye z Normy, z najulubieńszej mi opery.

— Ach! ten duet i ja śpiewałam także z moją przyjaciółką.

— Więc Pani śpiewasz?

— Prawie nie.

— O! śpiewa śpiewa i ślicznie, ” podchwyciła jedna ze starych matron, które ze swojemi zmarszczkami i piętrowemi czepkami, rozrzucone były, w małych grupach, po salonie, jakby dla wydatniejszego odcienienia strojnych warokczy i świeżych rumianych twarzy młodych dziewcząt.

Stare damy zwykle, gdy już powiedzą sobie wszystko co widziały i słyszały, gdy odmówią partyi wista, którą im najczęściej przez grzeczność jedynie ofiaruje gospodarz, siedzą milczkiem wyprostowane, spoglądając tu i owdzie, tłumacząc spojrzenia bez celu albo przypadkiem rzucone, gorsząc się zdaniem które nie raz same przekręciły, powtarzając koniec rozmowy z której nie dosłyszały początku.

Ztąd potem mogą rozgadywać po okolicy, jaki jest stan serca każdej panny, kto się w kim kocha, jakiego kawalera do tego lub owego domu przyciągnąć się starają.

Ta także o której mówimy, dostrzegłszy naszych młodych znajomych kilka razy z sobą rozmawiających, już różne robiła domysły. A kiedy Teressa, na jakie wesołe opowiadanie Leopolda, zaśmiała się pusto, serdecznie, stara pomrukiwała pod nosem: „He, he, cie szy się dziewczyna. Wierzę, chłopak i z pierza i z mięsa, ale nic z tego nie będzie... wysoko on patrzy. I natężyła uszy, aby coś z ich rozmowy podsłuchać.

Gdy wspomnieli o śpiewie, kontenta że może, jak to mówią, wścibić swoje trzy grosze, tak zaczęła głośno prze-

chwalać i Normę i muzykę i Teresę, że już wszystkich uwagę zwróciła.

— Prosimy nam co zaśpiewać, odezwały się panie.

— Chciej Pani dać się słyszeć, wyrzekł zbliżając się gospodarz domu i ze staropolskiem uszanowaniem, pocałował ją w rękę. Zakłopotana Teresa nie wiedziała jak się wymówić. Pan Taliński śpiewa i zapewne lepiej odemnie, rzekła.

— My i panu Talińskiemu nie darujemy, lecz Pani racz go zachęcić przykładem.

— Śpiewajmy razem ten duet z Normy, poprosił nieśmiało Leopold.

Kiedy ja go już pewno nie pamiętam, odpowiedziała z powabnym uśmiechem oczy na niego podnosząc.

— To nic i ja go już nie śpiewałem

dawno, nie mam z kim!.. będziemy sobie wspólnie pomagać.

Poprowadził ją do Fortepianu, rozłożył nuty i zaczął. Z początku mylili się oboje, głos drżał Teressie, ale im dalej tym szło lepiej. Kiedy zaś słuchacze, nie zadowoleni prędkim skończeniem, prosili o powtórzenie, czysto, zgodnie i harmonijnie spiew cały wykonali. O! co za rozkosz tak głos swój złączyć z pięknym głosem kobiety. Przysłuchiwając się tej melodyi, serce mocniej uderza, wyobraźni nasuwa się myśl: Czyżby i dusze nasze tak zharmonizowały się z sobą.

Skończyli wśród pochwał i podziękowań przytomnych.

Spiew ich zmęczył tak, że pałają ich lica a piersi się wznoszą.

— Już późno i noc ciemna, odezwała się do sąsiadki Matka Teressa.

— Prawda, jedźmy, zawołały wszystkie matrony, co to zawsze złych dróg się boją.

Prawda, trzeba jechać, potwierdzili także Mężowie przy stolikach, które nawet rzucić gotowi, na wspomnienie że częste ach! i ach! żoneczek, pochrapać im spokojnie w kącie pojazdu nie dozwoli.

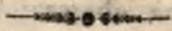
Jednak nie wszystkim podobało się do odjazdu wezwanie, bo Leopold zawołał: „Czekajmy lepiej aż Księżyc zejdzie” i hucznego zagrał Mazura. Kilka głosów powtórzyło: „Czekajmy! znów zaczęto tańcować, ktoś tylko zrobił uwagę: „Jak pan Taliński dzisiaj wesoły!

Zszedł księżyc. Trzeba jednym jeszcze toastem wesoło skończyć zabawkę. Rzą konie, trzaskają z biczów z niecierpliwości furmani. Teressa i-

dąc wsparta na ramieniu Leopolda za
 Matką do pojazdu, pierwszy raz ude-
 rzoną została jego starością i kształ-
 tem odwiecznym, pierwszy raz ucie-
 szyła się że w nocy wyjeżdżając nie wi-
 dać pozwieszanych łbów ich spracowa-
 nej fornalki, a szczególnie że ich nie
 dojrzy on, co przyjechał ładnym ko-
 czykiem, elegancką czwórką arabczy-
 ków. Próżna obawa. Onby nawet
 wśród dnia białego na głowy końskie
 nie patrzył, mając ją przy sobie. Zre-
 szta po cóż ma nad stanem jej majątku
 robić uwagi, wszak on się jako stara-
 jący o jej rękę nie przedstawia.

Trzy godziny jazdy po złej drodze,
 upłynęły dla Teressy jedną chwilą ma-
 rzenia. Nie uważała słów Matki któ-
 ra wybojami i kałużami rozdrażniona,
 utyskiwała nad męczącym musem woże-
 nia córek po zabawach. Nie dosłysza-

ła nawet jak ta jej powiedziała, że się słabą czuje. Poczynająca się miłość działając najwięcej na wyobraźnię, samolubnie nad wszystkimi innymi uczuciami górę bierze. Czyż nie bywają przykłady, że zagłusza nawet głos sumienia i honoru?... Och! taka szlachetnego serca niegodna!



ZAMĘTCE.

We dwa lata po wyjściu z Instytutu, Róża tak pisała do swojej przyjaciółki: „Już teraz Teresiu żadne nie posłużą ci wymówki, musisz na jakiś czas do nas przyjechać. Bo ty nie wiesz, ja idę za mąż, a tybyś nie miała w dzień ślubu pierwszego dać mi całuska, nie miała-byś powiedzieć czy mi ładnie w czépeczku, czy mnie mąż kochać będzie? Poznasz mego Henryka, spodoba ci się

pewno, ja go tak kocham. Rzadko do mnie pisujesz Teresiu, to nie ładnie, czy tybyś o mnie zapomniała? O! odrzucam tę myśl, zbyt jest smutną, a ja teraz taka wesoła, taka szczęśliwa! ostatni karnawał zszedł mi zachwycająco, najwięcej z nim tańczyłam, byłam z mamą u wód tego lata, zwiedziłam kilka stolic Niemieckich, Kraków i powabne jego okolice.

Ach! jak żałowałam, żeśmy w ten czas razem nie były. Od czasu naszego rozłączenia nie napotkałam nikogo, coby mnie tak jak ty za jednem spojrzeniem, jednem ściśnieniem ręki rozumiał, coby czuł tak jak ja czuję. Na przyszły rok dopiero, rokoszną podróż układam. Pojedziemy z Henrykiem do Włoch, do Szwajcaryi, razem wstępować będziemy na wspaniałych gór szczyty. Jak piękne i pachnące będą kwiat-

ki, które on dla mnie zerwie, jak błogo i przyjemnie, kiedy łza, którą wzniosły widok oko moje napęlni, w jego odbije się oku. On mnie pojmuje. On mnie zawsze kochać będzie, nie prawdaż Teresiu? Muszę w to wierzyć, bo ta wiara jest moją życiem. A ty cóż tam na swojej nudnej wsi porabiasz? Piszesz mi żeś zimna, rozsądna, bez omamień, że ci miłość matki, rodzeństwa zawsze wystarczy. Oj! strzeż się, abyś drogo tej zarozumiałości nie przypłaciła. My kobiety tak jesteśmy chciwe i potrzebne przywiązania, że choć ją na całą włożymy rodzinę, jeszcze dusza szuka, tęskni za drugą duszą, z którą by w jedną złączyć się mogła. Może też tam już i mojej Teresi serduszko, mocniej bije na jakich tkliwych oczu wspomnienie. Musisz mi to wszystko jak się zobaczymy powiedzieć: ślub mój

za dwa tygodnie, przyjedziesz więc kochana, dobra Teresiu.”

Teressa, szczęściem przyjaciółki szczęśliwa, przyjeżdża do Warszawy. Zapomina o sobie, a dla lubej Róży snuje w wyobraźni dni pomyślnych pasmo. Widzi w jej narzeczonym człowieka przystojnego, światowego, pełnego poloru i grzeczności, ale zdawało jej się, że do tego którego serce Róży wybrało, więcej pociągu mieć będzie. Jednak Henryk jest z nią nadzwyczaj ujmujący. Poleca się jej przyjaźni, powiada jej, jak często mówi o niej Róża, jak jej tego zazdrości i tysiąc podobnych słówek tak gładkich, tak grzecznych, że się aż czczemi wydają Teressie. Postępowanie jego względem Róży, także nie zadawalnia ją zupełnie jest dla niej pełen uszanowania uwielbienia nawet, z oczyma prawie ciągle w nią wlepio-

nemi, uprzedza jej żądania, myśli zgaduje. — Ale Teressa lęka się widzieć w tém więcej dyplomatyki konkurenta, jak kochanka miłości, rozumie bowiem że nie można być ciągle takim w domowym życiu, a zbyt raptowna przemiana dotkliwą dla serca Róży będzie. Jak okropne przejście dla młodej czulej kobiety, kiedy uniżony kochanek, stanie się mężem, — despotą. Lecz Róża musi być kochaną, ona tak na to zasługuje, i potem czyżby żenił się z nią Henryk gdyby było inaczej? To pytanie czyniąc sobie Teressa machinalnie podniosła oczy i jakby na odpowiedź, uderzył ją blask złotych kandelabrow, przepych obiciów i mebli. „O! moja Rózo, myślała z goryczą, ty coś tak warta być dla samej siebie kochaną, nie odbiorę ci przynajmniej twych drogich ułudzeń, ubogim i na nich zbywa-

Powstała z krzesła, rozmawiała, śmiała się, tańczyła, aby zatrzeć przykre wrażenie, aby bolesne myśli odrzucić. —

Już i po ślubie. Na drugi dzień państwo młodzi do dóbr swoich wyjeżdżają. Róża smutna, żal jej Rodziców, rodziny zapewne.

Teressa nie przypuszcza, nie chce przypuszczać innej przyczyny. Nie pyta jej się nawet o to, bo czuje, że kobieta zostawszy mężatką, chociażby nieszczęśliwą, wszelkich użalań, zwierzeń przed drugimi, unikać powinna. Jej należy w samą siebie wmawiać, że jest wesołą, kontentą. Już bowiem koniec dziewiczym marzeniom, już na zawsze, do ostatecznego tchnienia tak zostać musi.

Teressa ze łzami, z gorącym pomyslności życzeniem, pożegnawszy przyja-

ciółkę, na wieś wraca. Ale czy trudni się gospodarstwem, czy jest w towarzystwie, czy samą, zawsze u niej myśl jedna, 'zawsze z nią jeden obraz. — Gniéwa ją to, oburza, że może tak się zajmować mało zapewne o nią dbającym mężczyzną, przywołuje całą swą hardość, całą mniemaną niepodległość na pomoc, lecz cóż kiedy wszystko co ją otacza, najdrobniejsza jaka okoliczność, przywodzi go jej na myśl, a myśleć o nim tak miło. Widząc go chciałaby wydać się piękną, rozumną, przyjemną, a właśnie w ten czas być jej taką najtrudniej. Rozmawia nie tak swobodnie, czy nie wie gdzie zatrzymać, a kiedy czasem niepojętą siłą ciągnione spotkają się z Leopolda oczyma, jakiś dreszcz okropny a miły wstrząsa nią całą, gwałtowne wzruszenie pierś wznosi, lubo twarz spokojna,

zimna, jak zwykle u kobiet, które czują mocno albo wcale nie czują. O! gdyby on mnie kochał! mówi sobie, odebrawszy niekiedy małej przychylności dowód, i na tę myśl rozkoszna łza wdzięczności błysnie w jej oku, bojaźń ją jakaś ogarnie, bo czuje, żeby mu poświęciła wszystko, przywiązanie Matki, rodziny, opinią ludzi, wszystko!... prócz własnego szacunku. — Czasem znowu pełne gorzycy nasuwają jej się myśli.

Wspomnienie, że jest daleko od niego uboższą, tłoczy boleśnie jej serce. Piędzdy, piędzdy! woła z wściekłą gorzycą, i chciałaby posiadać miliony; żeby mu je rzucić pod nogi, a wzamian dostać trochę jego przywiązania i tę wiarę że jest dla siebie samej kochaną. Biedna młoda dziewczyno! niekiedy w rozognionej wyobraźni marze-

nia zdaje ci się, że cię przycisnął do serca, stulił swemi rękoma i popatrzył tak ładnie na twe zwilgocone oczy, że aż błysnęły radosniej, nadziei szczęścia ożywione promykiem. Bo ty innego szczęścia nie przypuszczasz, bo twoje szczęście to jego miłość. A pieniądze, czy już o ich braku zapomniała? Czyż nie uważałaś dotąd, że bez nich piękność, rozum, cnota nie mają w oczach świata blasku ani też wartości. — Żebyś była bogatą dziedziczką, do twojej karéty, ileżby namiętnych spojrzeń rzucono. W twoich wykwintnych salonach snułyby się roje, takich długo włosych melancholicznych młodzieńców, którzyby cię tyle wielbili, czcili, kochali, że jeżeli masz dużo miłości własnej, tobyś została prózną, zalotną kobietą, a jeżeli więcej serca, toby ono radośnie drugiego serca poszuka-

wszy w tém gronie, kochałoby mocno, tkliwie, z poświęceniem, jak to umieją kochać kobiety. I szczęśliwa wierzyłabyś ciągle że równie jesteś kochaną. Błogie złudzenia, jeżeliby i ciebie one opuszczać zaczęły, to później daleko później, a im dłużej zostawać w tym młodości letargu tym milej, tym mniej dotkliwe przebudzenie, bo wolniejsze. — Lecz ty prawie nic nie masz, bo cóż znaczy ta malutka wioseczka, którą się z braćmi i siostrą podzielisz, tyś biedna, biedna! Czyż niedość że kto spojrzy na Ciebie, że stanie za twém krzesłem i kilkanaście słów powiedzieć raczy? Ten Leopold, którego ty tak różnym od innych sądzisz, prawda, myśli czasem o tobie, bo przebiegając konno, wśród letniego poranku piękną okolicę, lub siedząc samemu w wiejskim zaciszu, jakże nie pomyśleć o niebieskich

oczach młodej znajomej. Przyjdzie mu nawet nie raz myśl o tobie wśród myśli o ułożonej do Anglii podróży, wśród wielbienia koni, chartów, wyźłów, które mu także uprzyjemniają nudotę rodzicielskiego domu. W towarzystwie lubi z tobą tańczyć, rozmawiać, bo uważał łaskawie, żeś lekka w walcu i że masz rozumu trochę. Czasem nawet rzeczywisty uczuje do ciebie pociąg, spojrzenie twoje tak duszę maluje a w duszy taka miłość czysta. Wtenczas on co lubi swe wewnętrzne rozbiierać wzruszenia, siada zdaleka, дума o tobie, o innych kobietach które znał kiedy. „Ona się we mnie kocha” mówi sobie z zadowoleniem próżności i nie dziwi go to wcale, gdyż nie wątpi, że gdyby chciał tylko, wszystkieby tak go kochały kobiety. Idzie do ciebie, powie ci kilka słówek grzecznych, tkliwych,

nie domyślając się nawet, że ty przyjąwszy je tak obojętnie, tak ironicznie niekiedy, zachowujesz je głęboko w pamięci, roztrząsasz, szukasz co w nich szczerego być może, co jaką myśl ukrywa i po widzeniu się z nim nieraz całą następną noc w gorączce, niepokoju, z rozpaloną głową i bolesnymi myślami przepędzisz. Lecz choćby się domyślał, cóżby mu to szkodziło, wszak to jeszcze miłości własnej pochlebia, zresztą to nie on, tylko ty cierpisz. On zasnął smaczno, wypaliwszy swoje cygaro.

ŚWIETCIE.

Pogodny Czerwcowy poranek, słońce piękne, powietrze czyste, wszystko powabną tchnie świeżością. Teressa wychodzi z domu; chce dziś wśród pól, i lasów, patrząc na Niebios błękit, ranną modlitwę odmówić.

Tam zawsze prośby jej gorętsze, więcej wiary i poddania się Stwórcy wyrokom, pozostaje w sercu. Skończyła, biegnie wśród lasu, kontenta,

że choć na chwilę mieszkań ludzkich nie widzi. Ich widok przypomina Świat i wszystko, co dotkliwego jest w życiu, a tu między drzewami, lepiej jej, weselej.

Ptaszki śpiewają tak radośnie, kropelki rosy tak ładnie błyszczą na cienkich sosny listkach. Dziś szczególnie Teressa, jakaś nie zwykle lekka, wesoła. Szuka jagód, których jeszcze tak mało, zrywa kwiatki leśne; jednymi swój jasny warkocz otacza, drugie przypina do boku i bawi ją to, cieszy prawie, zdaje jej się że ma dopiero lat piętnaście i że na wakacye przyjechała.

Wkrótce jedna myśl posępna zachmurzyła wyniosłe jej czoło. Wspomniała, że to był pierwszy miesiąca, a takich już siedm upłynęło, jak ostatni raz widziała Leopolda. Szczególne by-

ły ich między sobą stosunki. Czasem pełen zaufania, przyjaźni, tkliwości, nawet Leopold miłe dawał chwile złudzenia Teressie, czasem znowu był tylko przesadnie grzecznym, salonowym człowiekiem; Raz spostrzegł małą na jej palcu obrączkę, którą od Róży miała. „Daj mi Pani ten pierścionek powiedział. Teressa podniosła oczy z wyrazem podziwienia, dla interesów familijnych wyjeżdżam w Poznańskie, mówił dalej z cicha, będzie on dla mnie drogiem wspomnieniem. Teressa zmieszła się nieco, ale wnet wrodzona hardość przyszła jej na pomoc. Dać pierścionek temu, który jej nigdy nie powiedział, że ją kocha, który nawet często jakby się lękał uczynić jej jaką grzeczność przy drugich, może żeby go o staranie się o jej rękę nie posądzono.

I stanęła jej na myśli cała śmieszność tych pamiątek z włosów, obrączek, miniatur, któremi się potem, nie raz publicznie chełpią mężczyźni. „Mnie się zdaje, odpowiedziała z godnością i lekkim wzruszeniem, że jeżeli przyjaciół chcemy zachować w pamięci serca, ono bez przypomnienia się obejdzie. Uśmiechnął się Leopold, rozmowa żartobliwy obrot wzięła i już o nim nic dotąd nie słyszała Teressa, wieć tylko że we dwa dni za granicę wyjechał. Kiedy wróci i jakim wróci dla niej, to są myśli ją niepokojące. Żal ją bierze, że czasem tak przykrą hardemi odpowiedziami była dla niego, że się tak okazywała przeciwną swoim wewnętrznym uczuciom. Ale rozsądek mówi jej, że do mężczyzny pierwsze należą kroki, jeszcze żeby bogatszą od niego była, nie wahałaby się może dać mu poznać

słabość swoją, ale bez majątku, posądziłiby ją o interessowność, on sam może. Och! to myśl poniżająca. To znowu w dalekie zapuszczając się marzenia, wystawia go sobie nieszczęśliwym, opuszczonym, wyzutym z majątku, a ona wtenczas, na zawsze los swój do jego losu przyłącza, otacza go swoją miłością, staraniami, wystarcza mu za rodzinę, przyjaciół, jest dla niego wszystkim. Jakąż świętą i czystą rozkoszą, jest dla serca kobiety, myśl nawet o poświęceniu się dla ukochanej osoby.

Kiedy Teressa tak дума wśród ciszy lasów, turkot powozu zwraca jej oczy na drogę do domu wiodącą. Ze wzruszeniem przyspiesza kroku, gdyż poznała w wychylonej z pojazdu, i dającej jej znaki chustką, młodą kobietę.

cie cioteczną siostrę i przyjaciółkę lat
dziecinnych Leopolda.

— Dzień dobry, dzień dobry, moja
piękna zamysłona. Tak rano; dużoś
jagód ubierała? Cóż nie dziwisz się
mojej dobroci, że cię Kocham jeszcze,
że przyjeżdżam do ciebie kiedy ty tak
mnie zaniedbywasz. Ale też musisz mi
się za to wszystko dobrze odplącić.
Jutro moje imieniny, czy pamiętasz o
tém ty nic dobrego? Dobrze, może
zbięrałaś się przysłać mi, najwięcej bi-
let z powinszowaniem. Nic z tego nie
będzie, ja chcę ciebie, ciebie samą;
siadaj prędziej, jadę do twojej mamy,
całuję jej rączki, nóżki, proszę o po-
zwolenie i zabieram cię z sobą, i to
zaraz a na tak długo jak mi się spo-
doba.

Takim potokiem słów przyjęła Te-
resse roztrzepana i wesoła pani Do-

wolska. Lubiła ona ją szczerze, tak jak ci wszyscy którzy ją bliżej znali, lecz chociaż doskonała kobieta, za nadto była żywą i nie ukrywającą wrażeń swoich, ażeby domyśleć się mogła uczucia, które tak głęboko wraziło się w duszę Teresy. Pani Dowolska, we dwa tygodnie po pierwszym widzeniu się z swoim mężem już obiecała mu pójść za niego. Kocha go szczerze, dowcipna, przyjacielska, otwarta, jest lubiana od familii i znajomych, i Leopold, chociaż żadnem podobieństwem w charakterze ku niej nie wiedziony, kocha ją jednak jako miłą towarzyszkę lat dziecinnych i najprędzej jej swe myśli i zamiary odkrywa. Nie wszystkie jednak widać, bo o powabnej sąsiadce, o której marzył czasami, nigdy prawie albo zupełnie obojętnie z nią mówił. Teresa sama nie wie dla cze-

go, takby nie chciała jechać z panią Dowolską, ale na jej prośby złożone z zezwoleniem matki, opuszcza dom na dni kilka, aby się zabawić... Biedna Teressa!

Ledwo trzy godziny upłynęło od wyjazdu, już stanęły w domu Pani Dowolskiej. Teressa ciągle z natężoną uwagą musiała słuchać rozlicznych opowiadań swej towarzyszki.

— Ale, ale wykrzyknęła pani Dowolska odpocząwszy nieco, czy może być żebym dotąd zapomniała, powieścić ci rzeczy najważniejszej, najszczerzej, której ledwo dasz wiarę. Wystaw sobie, ten nasz zimny, ponury Anglik, ten obojętny na wszystkie przyjemności życia filozof, który za ledwo raczył pokazać swą zamysloną fizognomią w naszych salonach, mój brat Leopold nareście żeni się w Po-

znańskim z milionową panną, i cóż ty na to?

— Musi być ładna, wyjąknęła machinalnie Teressa.

— Ładna czy brzydka, nie wiem tych szczegółów. Spodziewam się, że przecie pan Leopold będzie do mnie pisał, bo dotąd wiadomości, które mam o nim, pochodzą od mojej sąsiadki z Kobielic, mającej siostrę także w tamtych stronach, znajomą z naszą ciotką baronową, a tam u niej jest teraz Leopold.

I pani Dowolska, znówu na inny przedmiot rozmowy wpadając, nie spojrziała na wybladłą głęboki smutek malującą twarz Teressy.

Biedna teraz dopiero poznaje, ile go kochała, gwałtowne i bolesne naprzemian miotają nią uczucia, a oczy na

pół roztwarte zdają się patrzeć a nie widzą.

Dzień następny imieniny pani Dowolskiej, gości dużo, trzeba być wesolą, aby się nie narażać na liczne komentarze. Jest nią więc Teressa, ale ten jej śmiech łzę by wycisnął tym, co by wewnętrzne jej myśli pojąć mogli. Nazajutrz jakiś interes pana Dowolskiego do wydalenia się zmusza, a jego żona usilnie błaga Teressę żeby jeszcze została. Ta ustępuje, odkłada swój wyjazd, chociaż ją jakaś szczególna ogarnia do matki tęsknota. „Przy matce najmilej zasmuconemu dziecieniu.” Tak sobie to nieokreślone tłumaczy wrażenie.

Jednego dnia wieczorem siedziały obiedwie w roztwartém oknie. Jest coś tak uroczystego w głębokiej ciszy, która panuje w rozległej pół-przestrzeni,

cós tak rzewnego w bładych promieniach księżyca, że człowiek milczy tylko i uwielbia, zmartwienia jego łagodzą się jak jaskrawość ostatnich promieni słońca z mrokiem zapadającej nocy. Teressa z wlepionemi w górę oczyma, z opartą na rękę głową, siedziała nieporuszona. Pani Dowolska wróciwszy od dzieci, które już uśpione, macierzyńskim obdarzyła pocałunkiem, przysunęła się do niéj i nie mówiąc, rzucała tu i owdzie żywych oczu spojrzenia. W tém stąpieniu szybko biegnącego konia, uderzyło ich uszy, od tak długa żadnym nierażone dźwiękiem. Teressa jakby nie mile przebudzona z wzdrygnięciem powstała. Niespokojnem wejrzeniem sięga daleko na drogę którą przyjechały, lecz już tu blisko, pod bramą dziedzińca, poznała białą nóżkę ulubionego

gniadosza, usłyszała głos domownika:—

— 'To posłaniec od mojej Matki, wykrzyknęła biegnąc ku niemu.

— Pani bardzo chora, sam Pan doktor kazał mi tu jechać po pannę" była odpowiedź fornala, na prędkie obudwu kobiet zapytania.

— O! mój Boże, co za nieszczęście, zawołała pani Dowolska, nie opuszczę cię w tak przykrój chwili, jadę z tobą moja Teresiu i z pośpiechem wybierać się zaczęły.

W pół godziny potem już siedziały w głębi szybko unoszącego je powozu. W około nich ta sama spokojność, niekiedy tylko wykrzyknikami pani Dowolskiej przerywana, a nad niemi ten sam jasny, pogodny księżyc, którego eichy promień błyska teraz czasem we

łzach wolno toczących się po licach Teressy.

Przyjechały nareszcie. Już północ blisko. Dwa psy domowe wśród długich przerw wyją żałośnie. Teressa głaszcze ich przechodząc aby ich ukoić, bo te ich głosy rozżalają ją jeszcze. W domu zdaje się wszystko spoczywać, w jednym tylko pokoju zapomniano zamknąć okiennic i tam słabe widać światło. Jest to pokój jej matki. Teressa starannie osusza zwilgcone oczy, nogi drżą pod nią, gdy bojaźliwie klamki się dotyka. Wtem imię swoje tęsknym głosem matki wymówione usłyszała, zebrawszy więc całą swoją odwagę wchodzi, i jednym spojrzeniem przedstawiający się obraz ogarnia. Jej siostra i bracia, wstrzymując łzy, u łóżka chorej klęczeli. Proszesz przywołany dla ulżenia duszy

i wsparcia jej w trudnym dla człowieka przejściu, ustępował właśnie miejsca lekarzowi, co jeszcze ciału życie przywrócić usiłował. Wśród panującej cichości słysząc tylko niezmiennie jednostajne tyk, tyk zegara i niekiedy głośniejsze wydzierające się łkanie z grona dzieci lub sług o podal stojących. Nie zważając na doktora, który zalecał spokojność, chora przerywanym głosem mówiła: Nie płaczcie tak moje dzieci, słyszeć nie mogę.... Chociaż na tamym świecie ja jednak zawsze będę z wami... skończcie dobrze nauki, to waszym majątkiem, tytułem, jedyną będziecie przed ludźmi zaletą... W mojem biurku znajdziecie wszystkie papiery w porządku, niektóre rewersa, niech je wasza siostra przejrzy... Słuchajcie jej, ona was kocha... jak ja... Nie wydawać wiele na mój pogrzeb, to zby-

tek niepotrzebny. Pensya za Stasia i Zygmunta jeszcze nie opłacona za kwartał.... Włóżcie mi czarną suknie i czepek z białymi kwiatkami, będzie to żałoba. Och! jak mi też żal was opuszczać, dodała ciszej, potem ro-zglądając się smutnie, zapytała: I je-szcze niema Teresi?

— Jestem Mamo, jestem, odpowiedzia-ła córka, przybiegając i gwałtowne-mi pocałunkami okrywając jej rękę. „Takaś była zdrowa Mamo, jak ja wy-jeżdżałam, to tylko mała słabość, wkrót-ce lepiej będzie.

Chora lekko głową wstrząsnęła.

— Po co ten ksiądz mówiła jej da-liej — to tylko cię przeraża Mamo, da-je myśl o niebezpieczeństwie które nie istnieje.

— Czuję ja że nie pożyję dni kilku, moje dziecko..... błagam Stwórcy o od-

wagę, bo ta mnie często opuszcza.....
 Wszakże to was sierotami zostawić będzie trzeba... to jest zadawniony defekt
 cicho mówił doktor do Teressy. Nie przypominasz sobie Pani, z dawna jakich
 symptomatów choroby?

Ona przytaczała wszystkie słabości które jej tylko na myśl przyjść mogły, ciężko wyrzucając sobie że niedosyć na zdrowie matki dawała baczenia. Doktor wyprowadził z tego systematycznie rozwijającą się konsumpcją wewnętrzną, zapalenia i tym podobne. Oh w rzeczy samej był to ból zadawniony, oddawna nagromadzone łzy i ukrywane cierpienia biédnej wdowy. Bardziej jeszcze niszczyły zdrowie tkliwej kobiety ciągle zabiegi o byt niepodrastałych dzieci. Całe do nich przywiązanie, całe przekonanie o ile im jest potrzebną, już nie zdołały wstrzy-

mać ciała szybko do grobu wstępującego. Umarła w dni kilka jak przepowiedziała sama a równie piękne słońce które dwa tygodnie pierwiej oświecało wesoły wyjazd Teressy z Panią Dowolską na imieninową zabawę, wdzierało się teraz przez niskie okna wiejskiego domku i blaskiem swoim ćmiąc światło gromnic, co otaczały katafalek, rzucało ukośne promienie na schylone główki pięciorga siérot, przy zwłokach Matki się modlących. Biedne siérotki! i z nich najstarsza dziewczyna, za ledwo skończyła lat dwadzieścia.



MARZONKOWIE.

Róża, za mąż poszedłszy, krótkie tylko i rzadkie listy do przyjaciółki pisywała.—Teresę to milczenie niepokoiło. Było jej przykro pomyśleć, że Róża szczęśliwa o niej zapomina, boleśniej jeszcze rozumieć, że jakieś niepomysłne wypadki odbierają jej do pisanja ochotę. Lecz sama też zwlekała smutne o śmierci matki doniesienie, jeszcze nie miała dosyć odwagi skre-

ślić powolném piórem te słowa: Jestem sierotą! Tak jakiś czas upłynął, a żadnej o sobie nie miały wiadomości. Nareszcie Teressa następujący list odbiera:

„I cóż, nic mi nie wymawiasz Teresiu, że do ciebie nie piszę, może nawet nie dbasz o to i o mnie już niepomysłisz. Ja zaś biędna tak pragnę twoje dobre rady, twoje czułe przestrogi usłyszeć. Bo ty nie wiesz wiele, ty nic nie wiesz Teresiu. Pogniéwaliśmy się z mężem, z tym Henrykiem, którego miłości tak pewną byłam, a od naszego ślubu dwa lata nie upłynęły jeszcze!... Lecz abyś co z tego zrozumiała, abyś mnie lub jego nie potępiła przedwcześnie, trzeba ci wszystko opowiedzieć.

Kilka dni szczęścia, ułudy, które miałam po rozłączeniu się naszym, wśród których zapomniałam o wszyst-

kiem, o Matce i o tobie, uleciały prędko. Na wsi jeszcze, już mnie razić zaczęło niektóre obejście się, względem mnie, Henryka. Zaprojektował wyjechać na zimę do Krakowa, przystałam. Jak mi to miasto ponurém się wydało z swými kominami zionącemi duszące z torfu dymy, mnie co go tak pięknem wśród letniej zieloności widziałam.

Było to jak różnica wesołych dni dziewiętnastoletniej dziewczyny od smutnego, pełnego zawodów życia męzatki, której młodociane omamienia jedne po drugich ulatują na zawsze. Towarzystwo widywaliśmy wyborowe, jest kilka domów w Krakowie, dobrym tonem, wytworną grzecznością, polską uprzejmością celujących.

Mieliśmy bale, koncerty, teatra salonowe. Henryk gra doskonale komedya, wszyscy go uwielbiali, a mnie

przykrym był prawie ten jego talent. Nie zapomnę nigdy dręczących myśli które mi przychodziły wczasie jednego przedstawienia. Mój mąż grał rolę kochanka bogatej dziedziczki, z którą się miał żenić dla jej majątku. Tę kobietę przedstawiała panna dość brzydka i nieprzyjemna, wiedziałam nawet z pewnością, że ten wybór aktorki niekoniecznie podobał się Henrykowi, zazdrosną więc być nie mogłam, a jednak każde jego słowo, spojrzenie, zasmucało moje serce przypomnieniem dni dawno dla mnie ubiegłych. Pierwszy raz stanęły mi w pamięci rozległe dobra, które Rodzice wraz ze mną jemu oddali. Więc onby mnie nie kochał szczerze? nawet wtenczas.

O! to myśl okropna, wierzyć temu nie mam siły. Jednak widząc jakim jest

dla mnie, jakim dla innych, nie podobna sądzić inaczej. Wszystkie kobiety szaleją za nim, on dla każdej usłużny, nadskakujący, każdą się zajmuje o każdej pamięta, zemną zaś jest obojętny, niedbały, czasem znowu poufały do grubijaństwa prawie. Zdaje się rozumieć, że go małżeństwo od najprostszej grzeczności względem mnie uwolniło. Nie raz kiedy wychodząc z balu, on innym kobietom szale, mantylki podaje, z pochlebnemi uzaleniami, że wiatr tak śmiało powiewa po ich białych ramionach, ja drząc cała czekałam na usługę mego lokaja. A wszak i ja miałam w salonach powodzenia dosyć. Wszak i mnie otaczano, chwalono. A ja się niecierpliwiłam, gniewałam prawie, o każde śmielsze spojrzenie, o wszystkie zbyteczne grzeczności, do których okazywania mi, Henrykowi tylko przyzna-

— 174 —

wałam prawo. Towarzystwa przy-
krzyć mi się zaczęły, bywać przestałam,
lecz mój mąż nie spostrzegł tego prędko.
Mieliśmy osobne pojazdy i rzadko kie-
dy razem wchodzących do salonu nas
widziano. Nareszcie raz kiedym sie-
dząc w oknie patrzyła na wieże Krako-
wskich kościołów, które wracająca wio-
sna, jasnymi słońca promieniami oświe-
tlała, i płakałam gorzko na myśl że dla
mnie już nie wraca wesołość, zszedł
mnie mąż niespodzianie. „I czegoż ty
płaczesz, zapytał się wyjmując z ust
długą fajkę i puszczał kłęby dymu
w twarz moją prawie. Dym ten odu-
rzył mnie i dochodząc do gardła mocny
sprawił kaszel. Nie przeprosił nawet,
nie położył fajki, choć wie, że jej nie
znoszę, zaczął tylko dowodzić jak ły-
psują świeżość policzków, jak szkodzą
pełności twarzy. Ty mnie nie kochasz,

mówiłam ze łkaniem, i ja płakać nie mam?

— Ha, ha, ha! otóż to wy kobiety, odrzekł ze śmiechem, wyciągając się w szerokiém krześle i wpatrując się w spiczaste końce swoich tureckich pantofli, zawsze szlochacie, zawsze się dręczycie, same nie wiedząc dobrze czego i to największa przyczyna, że was zwykle starość prędko zaskoczy. Chciałybyście z męża mieć uniżone sługi. Czegoż że chcesz odemnie? Czym ci przed ślubem mało tysiąc razy nie powiedział że cię kocham, czymże ci tego przed ołtarzem nie przysiągł i jeszcze nie dosyc. Mam że ci to co dzień jak paciierz powtarzać? No obetrzyj oczki, moja Róziu, dodał tkliwszym głosem, powiedz, może słabą jesteś? Wszystkie panie znajome ciągle mnie się pytają o ciebie. Zanedbujesz towarzystwa, wi-

dzieć się nie dajesz, a ja taki szczęśliwy kiedy ty jaśniejesz wśród kobiet pięknych grona, kiedy Ciebie chwałą nad inne. I przybliżył się do mnie, objął, pocałował, ale ja odwróciłam się, odurzona nieprzyjemną fajki wonią. Henryk pokorniejszy jeszcze schylił się do rąk moich, do nóg, do kolan i tak pieścił, tak patrzył mile, tak się stał na nowo owym dawnym Henrykiem, żem zapomniała wszystkiego i znów wierzyłam w jego przywiązanie. Wyjechawszy z Krakowa, podróżowaliśmy do końca lata a podobne sceny między nami powtarzały się często. Rzecz dziwna jak nasze gusta są różne, co mnie zajmowało, nudziło zawsze Henryka. Wtym czasie urodził się mój luby synek. Jakem ci donosiła, dałam mu imie ojca, tak téż do niego podobny. Ostatnią jesień prawie całą nad

jego kolébką spędziłam. To jeszcze więcej męża oddalało odemnie. Mówił że krzyk dziecięcia nerwy mu drażni, bawił się więc, bywał sam, grał w karty, polował ze swemi sąsiadami. Na zimę chciał żebyśmy znowu do Krakowa pojechali. Powiedziałam mu że może to sam uczynić, gdyż ja chcę jakiś czas przepędzić w Warszawie z matką, której już od półtora roku przeszło nie widziałam. To mu się nie podobało. W Krakowie ma wiele znajomości, tam więc pokazywać się i chełpić lubi. Nie kontent że mu towarzyszyć nie chcę, zaczął mi robić gorzkie wyrzuty, że nigdy nie przystaję na to co mu robi przyjemność, że wysyłając go samego do Krakowa, z Rodzicami go tylko chcę poróżnić, a światu dać do zrozumienia, że on nie jest przywiązanym mężem. Byłabym może i uległa, chociaż szło

mi niezmiernie o niebezpieczeństwo długiej podróży dla mojego Henryka, ale list Mamy w którym wyrzuca mi delikatnie, że tak dawno u niej nie byłam, że jeszcze nie przedstawiła małego wnuka kochającej go Babce, zupełnie rzecz tę roztrzygnał. Mąż dla oka ludzi, odprowadził mnie do Rodziców, ale prawie zaraz wyjechał na wieś, pod pozorem potrzeby doglądania dóbr zarządu. Teraz w listach swoich dość rzadkich, obszernie tylko rozpisuje się o polepszeniach i odmianach które czyni w gospodarstwie. Kochana mama, jak jej czasem podobne wiadomości przeczytam, powiada: „O-tóż to, kto się ożeni to się odmieni, dawniej mówiono o tym poczciwym Henryku że to taki rozrzutnik, bałamut, utracyusz, nawet ojciec byłby cię nie wydał za niego, gdyby nie to, żeś ty

chciała koniecznie, a tu teraz chłopiec krząta się i pracuje aż za nadto. Napisz mu też niech przyjedzie rozerwać się trochę.” Mnie te słowa łzami oczy napełniają, lecz mamże dobrą matkę mojemi narzekaniami zasmucać? Zresztą nie mogę memu mężowi żadnego wyraźnego uczynić zarzutu, a to co dotkliwą boleść sercu naszemu zadaje, zwykle starzy ludzie urojonemi zmartwieńciami nazywają. Lecz ty mnie zrozumiesz Tereniu kochana. Ty mnie pocieszysz, połajesz, ty mi poradzisz, jak mam postępować. Ulituj się pisz do mnie jak najprędzej. Tak jestem słów twych spragniona, że list od Ciebie, chociażby, tak jak mój liczył arkusze, jeszcze krótkim wydawać mi się będzie. ”

„Ja coś lepszego, jak arkuszowy list wyanyśliłam (była odpowiedź Teressy)

Jest to projekt żebyś nas odwiedzić chciała, kochana Róziu, i o to gorącą, przyjacielską prośbę zanosimy do ciebie. Wszak to już Maj się zaczyna, dni tak pogodne, podróż ta posłuży zdrowiu twojego Henryka, a i ja mam urazę że go nie znam jeszcze. Tyle ci mam mówić o tobie że wolę to do naszego zobaczenia się zostawić, bo wątpić czy przyjedziesz, byłoby to powątpiewać o twojej dla mnie przyjaźni. — Ja także powieźć mogę, ty nic nie wiesz Róziu. My już nie mamy Matki. Dziesięć miesięcy upłynęło od czasu jakieśmy ją stracili, a jednak ileż siły potrzeba do skreślenia ci tych wyrazów. Już jej nie ma z nami!.... Dziwię się, że Staś cię nie odwiedził. Poleciłam mu dowieźć się o tobie, u twoich Rodziców. Lecz on jest jakiś nieśmiały i dziki, unika towarzystwa, a

że wie jak wy otwarty dom prowadzicie, to go zraziło zapewne. Nie gniewaj się jednak na niego, jest to mój brat najukochańszy, taki do nas wszystkich przywiązany, taki uprzejmy mimo niewypowiedzianą swego charakteru smętność.

Slicznie ukończył nauki, już chciał osiąść na wsi i na nas pracować, ale na moje usilne proźby został jeszcze na rok jeden i bierze lekcye prywatne. Żal mi jego piękne zdolności tak zaraz przy pługu marnować, a jednak musi być gospodarzem, inna dla niego nie przedstawia się kolej. Niech zynajmniej najpierw skończy lat dwadzieścia.

Dotąd na mojej głowie wszystkie domowe wydatki i całe nasze małe gospodarstwo. Zosia tylko jest przy mnie i pomaga ile możności.

Dwóch młodszych braci utrzymuje-

my w szkołach. Pamiętamy aby Stasiowi nie brakowało pieniędzy, bo onby nigdy nas o nic nie prosił, i tak narzeka że mu wstyd byź jeszcze siostrom ciężarem, chociaż ja mu powiadam, że to wszystko jest nasze wspólne i że on też potém za nas się będzie trudził. — „Stwórca o biednych sierotach nie zapomina; mówiła nasza Matka z wiarą i ufnością w ostatniej życia godzinie, krucyfix do ust przyciskając, i te słowa, jako błogosławieństwo świętej, opiekę nam Boską wyjednały.

Nie mając bliskich krewnych co by o nas mieli staranie, sami się rządźmy, jak można. Tylko przyjedź moja Rózieczku, a zobaczysz jak wszystko tu u nas idzie dobrze, cicho, porządnie. — Nie wyjeżdżam nigdy, czasem tylko kto z dawnych znajomych mnie odwiedzi i zasili łaskawą radą. Ciagle czynna,

ciągle o utrzymanie mego rodzeństwa się starająca i połowę dawniej mnie dręczących nie przychodzi mi myśli. — Dla siebie już zrobiłam rozbrat z wszelkimi marzeniami lat młodych, nie mam mi nie pomyślniejszej przyszłości nadzieja, jeżeli kiedy jeszcze moja wyobraźnia tworzy szczęścia obrazy, to dla nich tylko, dla tych, których śmierć matki opiekunką mnie uczyniła. Dla mnie niech się zostaną materialnego życia zachody, niech od nich troski oddalać potrafię i niech tak zawsze do śmierci zostanie, to już będę kontentą. —

Wczoraj wieczorem twój list mnie doszedł. Widok twego pisma oddawna nieoglądanego, uśmiech radości na moje usta sprowadził, odczytanie go lży zasmucenia wycisnęło. Przez noc całą myślałam o tobie, potem modli-

łam się, wspomniałam o Matce, i taka we mnie wstąpiła nadzieja, że ty długo zmartwioną zostać nie możesz. Tyś za nadto dobra, za nadto godna szczęścia, aby tak dni pędzić wśród płaczu. Ta mała istotka którą Stwórca twej pieczy i miłości powierzył Matką cię czyniąc, nie powinnaż być dla ciebie pociechy źródłem?

I twój mąż też inny będzie, jak mu serce przypomni że jest Ojcem. Gniewa się na ciebie powiadasz, jest to według mnie nawet dowód, że cię kocha. Czyż obojętne nam osoby obrazić nas mogą istotnie? Przyjeżdżaj tylko jak możesz najprędzej Róziu kochana, ale nie zapomnij że my razem z tobą i małego gościa czekamy-

Te skreśliwszy słowa, Teressa opuściła na dłonie stroskaną głowę.

Ileż boleśnych dla niej wspomnień

wywołało tego listu pisanie. Wkrótce jednak wszystkie myśli siebie się ty-
 czące odrzuca, chodzi jej o to jakby
 Różę z mężem pogodzić, jakby jej
 wrócić spokojność. I podumawszy
 trochę, znów pochwyciła za pióro. U-
 dając jakby nie wiedziała gdzie przeby-
 wa jej przyjaciółka, pisze do niej do
 wsi, w której zwykle mieszka, datę kła-
 dzie wcześniejszą, a na wierzchu ko-
 perty prośbę do jej męża, o otworze-
 nie listu tego w razie niebytności żony.
 Tam znowu powtarzać musi o śmierci
 matki doniesienie, przypomina że dru-
 giego Lipca już rok temu będzie, i pro-
 si żeby w dniu tym mogły się razem na
 grobie zmarłej pomodlić.

Moja Róziu, dodaje na końcu, nie wą-
 tpię że mi dasz ten przyjaźni dowód i
 zjedziesz choć w końcu Czerwca, lecz
 uproś też twego męża, by ci mógł to-

warzyszyć. My dzieci rządząc się same wiele mamy na głowie interesów.— Do wywikłania się z nich, nieświadomym dobrej rady brakuje. Twój mąż zapewne, z tém co nas w kłopot wprawia, doskonale jest obeznany. — O ile go znam i od ciebie o nim słyszałam przekonana jestem, że grzeczność kosztować go nie musi, mam więc nadzieję, że ja mając przed nim zasługę twej koleżanki i przyjaciółki tytułu, pozyskam zadosyć, uczynienie mej prośbie.”

Z tym listem, zaraz wysłany posłaniec, przed końcem tygodnia przywiózł Henryka odpowiedź, w której po różnych rzewnych ubolewaniach zapewnia, niby że sam najdalej natrzydziestego Czerwca zjedzie, a żonę będącą w Warszawie uwiadomi, i że ona bez wątpienia pierwój jeszcze prosto stamtąd przybędzie.—

W rzeczy samej, nie wyszło dni kilkanaście, a Teressa już ścisnęła w objęciach swoich dawną jedyną przyjaciółkę. Bez łez nie mogło się obéjść przywitanie.

Tyle rzeczy opowiedzieć sobie miały. Róża nie domyślała się niczego, żadnej bowiem wiadomości przed wyjazdem, który prędko po odebraniu listu nastąpił, nie miała.

Teressa uradowana, pieści jej synka, uniewinnia męża, a ją pociesza, odwagi dodaje.

Henryk wierny danej obietnicy zjeżdża w końcu Czerwca.

— Jakżem Panu wdzięczna żeś przyjechał, mówi Teressa na przeciw niego wychodząc. Żona Pana i śliczny synek już tu są od półtora miesiąca, wiadomo Panu zapewne!

— Patrz Róziu, kto to przyjechał, chodź prędko czy poznasz gościa.

Rózia ucieszona miłą niespodzianką, zapomina o dawnych urazach, w okamgnieniu już zarzuciła ręce na szyję męża.

Jemu naturalnie wypadało ją pocałować. Uczynił to i wyznać należy nawet chętnie.

Mały Henryczek z pomocą niańki przebiérając zwinnie drobnemi nóżkami, przyszedł także Tatę przywitać.

Miluchny chłopczyna zdawał się tą razą jakoś wpadać ojcu w łaskę. Tak mu się przypatrywał, tak figlarnie ciągnął za wąsy, tak nadstawiał świeżą swą buzię jego pocałowaniom, że Henryk dał się zawojować zupełnie i w krótkim czasie dobrymi stali się przyjaciółmi.

Róża jaśniejącemi radością oczyma, te ich pieszczoty uważa.

— Cóż jak znajdujesz Henryczka, pyta męża z przymileniem.

— Odmienił się do niepoznania, jeszcze go dotąd płaczącego nie słyszał, sliczne kochane dziecko.

— Do Ciebie podobny odpowiedziała Róża.

Cichém podziękowaniem mąż ujął jej rękę i do ust swoich przycisnął. — On zanadto cenił opinią i ważył ludzkie mowy, aby dać obcym zgadywać zaszłe między nim a żoną nieporozumienie. — Może też kontent był ze zdarzonego ułatwienia zgody. Może mu tak z jego wypadało rachunków. Połowa majątku Róży jeszcze była w posiadaniu jej Rodziców. Co pewna że teraz był dla niej tak czułym, jak w pierwszych dniach pobrania się, jakby żadna sprzeczką

pomiędzy niemi nie zaszła. Teresa
 rozweselona patrząc na nich, wszelkie-
 go wspomnienia o odebranej odpowie-
 dzi unika. Widzi Różę w przekonaniu
 że Henryk o jej tu pobyć się dowie-
 dziawszy, jedynie dla przypodobania
 się jej przyjechał. On sam zdaje się
 jakby pragnął w tej myśli żonę utrzy-
 mać, a Teresa choć jedną usługę przy-
 jaciółce zostawić pragnie, uważała bo-
 wiem, że miłość szczerą, bezinteresso-
 wną z jej tylko jest strony. Lecz poco
 się zastanawiać nad tém poco rozbié-
 rać uczucia. Tu idzie o utrzymanie
 zgody, jedności, między dwiema istota-
 mi, które na zawsze imię, wspólny ma-
 jątek i dziecko łączy, które przysięgły
 sobie, przed Stwórcy ołtarzem, że się
 nie opuszczą do śmierci. A ciągle ra-
 zem przebywać, rzucając na siebie gnie-
 wliwem spojrzeniem, co uśmiech na u-

stach wstrzymuje, co aż ziębi biedne serce, pojmuje Teressa ile to okropnie! Jednak spodziewał się, że w małżeństwie, które ma przed oczyma i które ją więcej jak każde inne w świecie obchodzi, zgoda od kilku dni trwająca, na zawsze zostanie. Mały syn jak aniołek pokoju jednoczy ich ścisłym miłości rodzicielskiej, ogniwem.

Henryk uprzejmy, ufny, wyjawia raz żonie, kiedy wszyscy przed domem na ławce siedzieli, że różne majątkowe targi przyprawiły ich o znaczne straty pieniężne.

— To drobnostka — przerywa Róża wesoło, żadnych nie chcąc słuchać szczegółów.

— Ty mnie kochasz o więcej nie pytam.

Henryk uśmiechnął się tkliwie. Teressie mimowolnie karty stanęły w myśli, lecz z jakichkolwiek pochodzący przyczyn, błogosławi ten wypadek

który pana małżonka pokorniejszym
uczynił i skłonił go do okazywanego
przywiązania tak mało wymagającej
żonie.



NIESPODZIEWANE ZAKONCZENIE.

Wśród schludnego wiejskiego Kościołka, stoi wysoko wzniesiona trumna. Czarne w oknach zasłony, nie pozwalają się mieszać światłu dziennemu z żółtych gromnic światłem, które dzia-
dek jedną po drugiej w około katafalku zapala.

Pusto jeszcze, gdzieniegdzie tylko widać czepiec bijącej się w piersi, sta-
rzej kobiety, słychać westchnienia na-

bożne i głośnie kutemi butami stąpanie. Wtem turkot przed bramą, przybycie kilku pojazdów oznajmia. W ten czas z ciemnej framugi wychyla się nieuważana dotąd wysmukła postać młodzieńca. Czy aby się modlić goręcej, czy też z ziemskimi myślami schronił się w ten skryty zakątek, nie wiemy. Jego oczy dotychczas na wpół zamknięte, teraz wlepiły się z wyrazem oczekiwania we wchodowe drzwi Kościoła. Właśnie w kilkunastu znajomych gronie, Teressa z rodzeństwem wchodziła. Wśród czarnej odzieży, szlachetna jej twarz smętną jaśniała bladością. Wysokie czoło nie znękany uchowało umysł. Cicha boleść, poddanie się wyrokowi Boga, malowały się w łąz zamglonych spojrzeniach. Postępowała zwolna i jednocześnie prawie z trumną, dostrzegła także tę oczy

młodego mężczyzny, co na nią tak bystro patrzyły. Zmieszana schyliła głowę, ręce skrzyżowała na piersiach, jak by chcąc stłumić gwałtowne serca bicie. Był to Leopold.

— O! moja Matko, nawet klękając przy twoim katafalku, pierwsza myśl moja nie była o tobie, mówiła z żalnym do siebie wyrzutem. Rzewnie płacząc odmawiała: Wieczny odpoczynek i inne pacierze.

„Mój Boże czegoż wznawia się to udręczenie dla mnie, sądziłam że go przynajmniej nie zobaczę więcej. I znów modliła się gorąco.

„Po co on tu jest myślała mimowolnie, oczu podnieść nie śmiejąc, z kąd on się tu wziął? Ach! on żonaty, przypominała sobie z goryczą, on oddawna żonaty być musi.

Skończone nabożeństwo. Teresa już

przy siadaniu do pojazdu odebrała od Leopolda głęboki pokłon i nic więcej nie dowiedziała się o nim.

— Kto jest ten Pan? pyta jej Róża.

— Pan Taliński, nasz sąsiad, odpowiedziała krótko.

Róża chciała powiedzieć oś jeszcze, zdało się nawet że żartować brała ją ochota, lecz widząc przyjaciółkę smutną nie miała serca.

Od śmierci matki Teressa nie nie-słyszała o Leopoldzie. Wié tylko że go dotąd w domu nie było, a jego starzy Rodzice sami mieszkali. Pani Dowolska jedyna osoba, któraby, nie pro-szona, dokładne dać mogła o nim wiadomości, wyjechała do rodziny męża w Krakowskie, gdzie ją choroba dłużej nad zamiar zostać zmusiła. A Teressa tak mało widywała obcych. Jeżeli kiedy obraz Leopolda jej myślom się na-

sunał, zabięrała się do ezyнного zatrudnienia, aby go czém prędzęj zagładzić. Czyż nie wspominała od tak dawna Pani Dowolska, że jęj brat ma się żenić. Więć już wszystko skończone.— On mnie nigdy, tyle co ja go, nie kochał, mówiła sobie Teressa, tym lepiej że go nie zobaczę.

I od jego wyjazdu za granicę nie widziała go aż teraz w Kościele, a jego spojrzenia tak mocne jeszcze wrażenie na niej uczyniły. Przeraza się gwałtownością uczucia, które jęj już wygładzoném się zdało. Wstyd ją, że smutek z innej przyczyny powstały, otaczające ją osoby, skutkiem wspomnienia o Matce być mienia. Róży cóś ma powiedzieć po liście tak przeciwnym terażniejszým jęj myśłom, który do niej w ten czas w zupełném przekonaniu pisała. Ale cóż są nasze postano-

wienia, przedsięwzięcia, cóż to jest co ludzie nazywają moc harakteru? Zdaje się to być tylko chwilowe usposobienie, które przeciwności lub pomyślność rozchwieją, a to tem prędzej, im my naszej stałości pewniejsi.

Po cóż Teressa opowiadać miała innym tę przykrą walkę z słabością serca którą już raz przytłumić zdołała, którą z czasu upływem i teraz przekonać się spodziéwa.

Nazajutrz po żałobném Nabożeństwie Róża długim bólem znękana, udała się po obiedzie na spoczynek. Mąż jej wzięwszy strzelbę wyszedł. Henryczek bawił się w ogrodzie. Teressa odsławszy do szkół braci, których była sprowadziła na obchód rocznicy śmierci Matki, siedząc przy stoliku z młodszą siostrą zajmowała się jakąś robotą. W tem usłyszały nie zwykły dla

nich turkot zajeżdżającego pojazdu. Z zadziwieniem podniosły głowę.

— To pewnie Pani Dowolska, zawołała Zosia i z tą myślą szybko wybiegły obie, aby ją powitać czém prędzej. Lecz nie była to oczekiwana znajoma. Pierwszą osobą która zaraz po otworzeniu dzwiczek wysiadającą zobaczyły, był Leopold Taliński a za nim jego rodzice, ludzie starzy, nigdy prawie domu nie opuszczający. Teresa zdziwiona temi odwiedzinami, cofnęła się, lecz wnet grzeczność gospodyni domu wzięła górę nad pomieszaniem. Wprowadziła przybyłych do pokoju, dziękując im z godnością że odwiedzić jej domek raczyli, podczas kiedy Zosia pobiegła oznajmić Róży, że są goście. Usiedli; już kilka ogólnych pytań odebrały odpowiedzi. Już przyznana i deszczu potrzeba i jedno-

stajność pogody, kiedy pan Taliński ojciec, wesoły i szczerý staruszek, zawołał z uśmiechem:

— No i cóż Leopoldzie, czy mnie na Adwokata obierasz, bo widzę, że jakoś nie umiesz sam zacząć. Ach! słowo daję to zabawne mówił dalej patrząc na niego, dwudziesto-pięcioletni chłopak rumieniący się jak dziewczyna. — Powiedzże o co przychodzisz prosić Panny Teressy, to ci się przecież nie od wczoraj po głowie uwija.

Leopold zmieszany powstał, Matka przyszła mu w pomoc.

— Moja Tereniu, mówiła łagodnie, bądź jego żoną, bądź naszą córką.

— Och! on mnie nie kocha, rzekła Teressa stłumionym głosem, oczu podnieść nie śmiejąc.

— Otóż znowu, nie kocha, wołał rubasznie Pan Taliński, gdyby nie ko-

chał, toby się tak żenić nie pragnął. Dzisiaj nam nie dał odpoczynku, tylko żeby jechać, żeby się spieszyć i teraz stoi oto jak na śmierć skazany i jeszcze nie kocha hę?

— Prawda, mówiła zwolna Teresa; jest to wielki dowód przywiązania, chcąc wziąć za żonę kobietę tak mało posiadającą wdzięków, a szczególnie bez najpotężniejszego ze wszystkich, pieniędzy. Moje serce głęboką mu wdzięczność zachowa za to oświadczenie, lecz jest że ono uczynione z rozważą? Cóż za korzyść z takiego ożenienia.

— Moja Pani nie dowódź mi o pieniądzech, o korzyści, do narzeczonych o tém mówić nie należy! to rzecz Rodziców, oni o tém myślą.

I czując że nie rozważną mową dotknął podejrzliwą hardość nieposażnej

dziewczyny, stary ojciec powstał i z oadłem ugrzecznieniem ludzi zeszłego wieku pocałował jej rękę którą potem w dłonie Leopolda włożywszy, powiedział.

— „No opowiedzże z takim, jak nam wczoraj zapałem, jak to jej obraz był zawsze twojej myśli przytomny, mimo innych kobiet widoku, jak jej nieszczęścia mocne w tobie wzbudziły współczucie, jak gdyś ją wczoraj zobaczył, piękniejszą droższą ci się wydawała. Mówże wszystko, ty to ładniej odemnie potrafisz.

Przykro nam jest słyszeć, naszego najgłębszego uczucia wyrażenia, powtarzane, w żart obracane przez starych, którym lodowatość lat późniejszych, pogardliwie spoglądać daje na skłonności młodego serca, których, jak powiadają sami, już ominęły te szaly.

Dla tego też Leopold zawstydzony, nie śmiał wyrzec słowa, tylko przycisnął namiętnie rękę Teressy do ust swoich i błagalnem zapytywał jej się spojrzeniem. Zrozumieli się tym językiem duszy. Gdy serce silnie wzruszone przyspieszoném biciem pierś unosi, słowa są ciche, małe, zbyt wyszydzeniu podległe, kiedy jeszcze obce słyszy je ucho. Ich oczy spotkawszy się opowiedziały im w jednej chwili, i dawne o sobie marzenia, i terażniejszą wiarę wspólną miłość i przyszłego szczęścia nadzieje. Właśnie weszła Róża ze swoim mężem, po nastąpionych przedstawieniach rozmowa zwawiej iść zaczęła. Teressa oddaliła się do przyległego pokoju herbatę nalewać. Leopold wkrótce znalazł sposobność wymknienia się za nią niezznacznie. Tylko pan Pali-

ski spostrzegłszy że nie ma obojga, rzekł pół-głosem do Róży :

— „Zobaczysz Pani, jak oni tam teraz rozmawiać z sobą potrafią.

— Oj jaka to skryta ta moja Teresia mówiła Róża. Wszak ona mi o tej znajomości nie wspominała nigdy, a przecież się oni już oddawna pokochać musieli.

— Więc nas Teresia opuści, a któż o nas pamiętać będzie jak ja sama w domu zostanę, zawołała płaczkliwym głosem Zosia, która dotąd nic nie mówiąc przysłuchiwała się bacznie wszystkim projektom.

— I ty myślisz że jabym o was zapomniała, rzekła Teressa z tkliwym uśmiechem przytulając ją do siebie.

— My wczoraj jeszcze, przerwał pan Taliński, ułożyliśmy jak rzeczy pojąć mają, tylko słuchajcie dzieci. Na-

przód, ślub niech się odbędzie w krótcie.....

— Dobrze mój ojczy, ozwał się Leopold.

Staruszek mówił dalej nie przestając. —

— Wszak już za sześć tygodni kończy się żałoba. Potém państwo młodzi tutaj mieszkać będą, póki im w Stygniewie ładnego pałacyku, który jest już zaczęty, nie wystawię. Mieścić się ze starami Rodzicami nie byłoby wam wygodnie. Tymczasem Staś skończy nauki i opiekę obejmie nad młodszymi, a co żonę, to nam dać musicie.

— Zabiérasz nam syna, Tereniu, dajże nam córkę. Mieszkając tak blisko, często się widywać będziecie mogły, a dla nas jakaż będzie uciecha, mieć w domu kochaną, miłą dziewczynkę.— Musi nam oddać wszystkie pieśczoty,

których nas Pan Bóg, zabierając nam córki pozbawił.

Teressa pochyliła się do ucałowania ręki pani Talińskiej, ta uściskała ją z uczuciem. Leopold przysunął się także do ręki Matki, szukając ustami miejsca, którego dotknęły się usta jego ukochanej. Pan Taliński ze łzami radości pobłogosławił młodej parze i przycisnął lubie dzieci do serca. — Zosię w czoło ucałował.

— Macie teraz ojca i matkę mówiła Róża z rozczuleniem.

A panna Teressa, mimo to męża jeszcze, dodał Henryk żartując.

Nie rozłączyli się aż późno wieczorem. Rozmowa była ogólną, wesołą, pełną rozkosznych zamiarów, przewidywań. Narzeczeni nie mogli być dosyć z sobą, oni co tyle rzeczy mieli do powiedzenia, dla tego też przy pożegna-

niu, pochyliwszy się ku sobie, ciche do jutra, wyrzekli, słowo tajemnicze, czarujące, w słodką obietnicę obfite, brzmiąc w sercu przez noc tak długą, która dzień obecny od następnego oddziela, błogie zsyła marzenia, o tych tkliwych spojrzeniach ognistych, przysięgach i tych lubych wyrazach, zaczętych nie śmiało i pocałunkiem przerwanych.

Lecz wszakże pani Dowolska mówiła Teressie że się Leopold żeni z milio-
nową panną. Prawda, ale to była tylko jedna z tych pogłosek, które tak chętnie rozsiławają zazdrośni, ciekawi i beczyn-
ni, uważając że młody człowiek bywa w domu, gdzie jest panna na wydaniu. Wiadomość ta doszła nawet do państwa Talińskich i list, w którym dziwili się iż nie są pierwěj od obcych zawiadomieni, spowodowała. A jednak trudno było być opieszalszym do poddania się mał-

żeńskim więzom jak Leopold. Krewni na wszystkie strony go swatali, już mu i zdawało się kilka razy, że się kochał, nigdy jednak nie mógł się zdobyć na odwagę usidlenia się ostatecznie.

— Taki z ciebie ładny chłopiec, mówili mu młodzi znajomi, możesz zrobić wielką partya, dołożywszy dobrej chęci trochę, sześć razy bogatszej od siebie panny dostaniesz. Ale Leopoldowi na te powabne prorocтва, przedstawiała się zaraz kobieta, próżna, kapryśna, lekka, o jakich słyszał tak często, lub też głupia, nudna, bez wyobraźni, bez serca i ten obraz zacięrał dla niego wszystkie pieniądze rokosze. Zresztą może się znaleźć i miła i rozumna, przypuszczał czasem łaskawie, będąc w wyrozumialszym dla kobiet usposobieniu, ależbym ją musiał dobrze pokochać pierwiej, spuszczać się na poślubie to

trochę za ryzykownie, bo wtedy cofnąć się nie można. Leopold pamiętał zawsze, że żenić się jest to rozrzucić sobą na całe życie, a nie był z rzędu tych, co sądzą miłość w małżeństwie zbytęzną. Nie raz stawała mu na myśli młoda sąsiadka, z którą tak często jednoczyło go podobieństwo zasad i gustów, której głos mile jeszcze brzmiał w jego uszach choć jej już nie widział tak dawno. Jej wspomnienie w zadumanie go zawsze wprowadza, ona dla niego jakąś inną pozostaje kobietą, żadna druga bowiem podobnego nie obudziła w nim uczucia. —

— Czyżbym ja ją kochał doprawdy, myślał usiłując zdać sobie sprawę z tego niepojętego pociągu, który czuł do Teresy, a którego oddalenie zatrzcć nie potrafiło. Z przyjemnością przypominał sobie chwilę, kiedy siedząc

przy niej, słuchał jej, widział ją, patrzeć nie śmiejąc, lub znowu kiedy swój wzrok w jej oczach utopiwszy, już nie słyszał, nie widział tylko te jej oczy, które mu tyle mówiły.

Lecz ona nic nie ma, szeptał mu głos dziewiętnastego wieku, wieku rachuby i jednej wiary w pieniądze. To znowu instynkt serca upewniał go, że w tej kobiecie dusza kochająca, wdzięczna.

Że nie przynosząc mu w posagu ziemi, ani kapitałów, otoczy go miłością, staraniami, zamiłuje to co on lubić będzie, zharmonizuje swoje życie z jego życiem.

W takim usposobieniu opuścił na wiosnę Poznańskie, zostawiając zadane ciotki i kuzynki, iż tak uporeczywie wszystkie ich swaty odrzucał. — Nie dojechawszy do domu już się o śmierci matki Teresy dowiedział. Rodzice

powtórzyli mu tę wiadomość, opowiadając rzadką przytomność umysłu, gospodarność Teressy, jej troskliwą nad młodszem rodzeństwem opiekę, jej czułe o nich starania, słowem wychwalić jej się dosyć nie mogli. To samo powtórzyli sąsiedzi z większemi jeszcze szczegółami. Silne współczucie obudziło się w sercu Leopolda, słysząc o licznych zmartwieniach, przykrościach, które znosić musiała Teressa.

Wyrzucał sobie poprzednie względem niej postępowanie, tak nacechowane passowaniem się interessowności światowej, z pociągiem szczerzej miłości wskazującej mu nie omylnie gdzie prawdziwe szczęście. Pragnął ją widzieć, ale jakim sposobem, ona nigdzie nie wyjeżdżała.

Założone Nabożeństwo szczęśliwą mu do tego podało sposobność.

Zobaczył Teresę, zrozumiał, patrząc na jej twarz od rumieńca opuszczoną, cierpienia, łzy które hamować musiała, bo płakać nawet nie było czasu.

Uważał pomieszczenie w które ją wprowadził jego widok, odgadł harde myśli po jej czole się przesuwające. Uczuł w sobie tyle mocy poświęcenia się dla niej, i szczerą chęć, osuszenia łez spojrzeniami miłości że już nie rozważał, nie wahał się, ale wszystkie myśli, cała wyobraźnia, do jednego skierowały się życzenia.

— Och! ona moja być musi!

Trzech miesięcy nie wyszło, Teresa przysięgła być jego w tym samym parafialnym kościółku, który patrzył na ślub jej rodziców, a później na ich trumny. Wznosząc od stopni ołtarza gorącą do Boga modlitwę, w lubym omamieniu, widziała ich uradowanych, bło-

gosławiących sobie. I mocna niepojęta wstąpiła w nią wiara: Będę szczęśliwą!

Róża wkrótce odjechała z mężem i synem, zabrawszy wprzód znajomość z panią Dowolską i polubiwszy ją szczerze. Ta choć już od miesiąca z Krakowskiego wróciła, powtarzała jeszcze:

— Że ja też to, tak często widując ich razem, nie domyślałam się niczego. —

Młodzi małżonkowie zostali sami. Dla nich, miodowych miesięcy rozkosze na dalsze życie urok swój rozłożyły. Nie przesycili się odrazu ciągłym sobie widokiem, nie zużyli wprzeciągu kilku dni, wszystkich pieśczęt, wszystkich miłości wyrazów. Leopold często wyjeżdżać przymuszony to do robotników, którzy pałac w Stygniewie wznosili, to dla prze-

glądu dóbr Rodzicielskich, z jakąż przyjemnością wracał do żony, jak wysiadał szybko żeby ją czémprędzej uścisnąć. A te długie jesienne wieczory we dwoje w wiejskim domku spędzane.

Teressa brała zwykle do ręki małą jaką robotę. Mąż czytał dla niej głośno. Lecz często stawał na najpiękniejszej karcie, w najbardziej zajmującym miejscu, aby się na nią popatrzeć. Ztąd żarty, śmiechy, sprzeczki dowcipne, wszczynane tylko dla tego, aby był pogodzenia się powód.

Trzy miesiące zimy spędzili w Warszawie. Dawne koleżanki radośnie wyznały sobie że ze swego losu kontente. —

Róża cieszyła się znaczną męża względem siebie odmianą. Może Henryk dopiero się teraz do niej prawdziwie przywiązał, może też uważał tylko, że żona

nie zbyt wymagająca, i że kilka przychylności oznaków, nie jest bardzo męczącą rzeczą.

To i to byłoby dobrze z jego strony, drudzy częstokroć i udawania, nie zadają sobie pracy.

Róża obiecała w rocznicę ślubu młodą parę w nowém mieszkaniu odwiedzić i dotrzymała słowa. Ale już dwoje małych gości do Stygniewa przyjechało. Henryk który już biegał i niewyraźne wymawiał słowa, i śliczna dziewczynka zaledwie cztery miesiące życia licząca.

Na wielki obiad dawany dla uczczenia dnia drogiego nawet państwo Talińscy z Zosią, zepsutém dzieckiem swoim przybyli. Był to wielki z ich strony dowód przywiązania. Im było tak trudno, poczciwym starym z domu się wyruszyć. —

Zycie ich upływało metodycznie, jakby po zegarku, a wyjazd psuł im zaraz dnia porządek. Już Jegomość obudził się pół godziną wcześniej jak zawsze, już Jójmość myśląc jak też będzie dom zostawić, zjadła mniej jeden kawałek bułki, do kawy. Wydalenie takie zwykle wilią ludziom zapowiedziane, ważny stanowiło wypadek. I we dworze i w folwarku ciągle powtarzano: Państwo jadą w gościnę. A stary furman co to jeszcze jegomości woził do ślubu lat temu czterdzieści z górą, z częstemi westchnieniami chędożył spaśle na próżniactwie konie.

Odwiedziny zatém państwa Talińskich każdemn niezmiernie były miłe. Teressa na wyścigi z mężem, największem otaczała ich uszanowaniem.

Dobrzy staruszkowie z tysiącznemi

błogosławieństwy w uściech, z niewymowną radością na nich spoglądali.

Może i im marzyło się dawniej świetniejsze dla syna małżeństwo, może mu nawet póki rzecz była do odmiany nie szczydzili uwag, lecz teraz już tego nie żałowali.

Pan Taliński wśród wesołych żartów o wnuki się dopominał. Bojąc się wracać w spóźnionej porze wyjechali przed wieczorem, a za nimi goście jedni po drugich. Staś którego zawsze Stasiem nazywano, choć mu już wąs dobry zwierchnią wargę pokrywać zaczął, wrócił także do swej miłej wioseczki w której jeszcze sam mieszkał, biedny!

Młodszych braci, ponieważ się wakacje skończyły, do szkół odesłano. Tylko jeszcze goście z Warszawy pozostali w Stygniewie, lecz i Ci w krótkce do siebie wyjechać mają. Teraz siedzie li

wszyscy razem wokoło wielkiego stołu, rozmawiając to o przytomnych niedawno osobach, to układając różne projekta na przyszłość.

Długo my téż tak z moim panem mężem, mówiła z uśmiechem Teressa, żyć będziemy bez sprzeczki, bez zatararów. Już szybki rok upłynął a jeszcze cienia nic podobnego niebyło. Bo téż wyobrazić nawet sobie nie mogę, żebyśmy gniewném okiem patrzeć na siebie mieli, lub kilka dni z sobą nie mówić.

Dla czegożby inne lata podobne temu być nie miały, pytał Leopold, dla czegożby miała między nas wciskać się niezgoda, kiedy my ją z obu stron siłą przywiązania odpychać będziemy.

— Prawda, odrzekła Teressa. Ciebie małżeństwo, tak nic prawie dla mnie nie zmieniło, tak, nie jesteś przesadny

w twoj przychylności oznakach, że to właśnie trwałość mi jej zapewnia.

Pamiętam że poznawszy się, tak mało w tobie tej usłużności, jaką mają starający się kawalerowie, widziałam, iż przypuścić mi było trudno, żebyś ty mnie kochał.

Och! bo dla mnie ty z innemi kobietami w równi stać nie mogłaś. Dla nich przeznaczałem cześć grzeczności, które nakazuje dobre wychowanie, dla ciebie to co serce wskazywało. Ciągłe nadskakiwania tak są nie naturalne, że prędko ustać muszą. — Są to wymysły naszej cywilizacyi, póty tylko znośne, póki zgromadzeni w salonach, jak nakręcone na ruch pewny lalki chodzimy, mówimy, śmiejemy się, wszystko podług oznaczonych przepisów. — Lecz przywiązanie dyktuje delikatne, czułe starania, do których nie potrzeba towa-

rzyskiej oglądy. Dziki murzyn troskliwie opędza palmowego drzewa liśćmi, owady sen ukochanej kobiety niepokojące, mówił dalej spoglądając na książkę z wyobrażeniami ludzi z różnych stron świata, którą Henryczek przeglądał, a śmiały Eskimoz pływając na olbrzymiej krze zlodowaciałego oceanu, rozgrzewa w swoich objęciach miłą żonę i innych nie domyśla się rozkoszy.

Szkoda że nam trochę ochładzającego z Labradoru powietrza razem z przykładami miłości wywołać nie możesz, bo gorąco jest szkaradne, przerwał żartobliwie Henryk otwierając okno.

— Może pójdziesz przejść się zemną, zapytał Leopold, teraz wietrzyk powiewać zaczyna, mam też kilka wydać rozkazów.

Wyszli, a kobiety usiadły w oknie i szczebiotały sobie; jeszcze jak to zwy-

kle kobiety kiedy wesołe i szczęśliwe. Przypominały sobie smutne i wesołe życia swojego koleje, figle Instytutkie i łązy późniejszego wieku.

— Miło mi wierzyć, mówiła Róża, że twemu wpływowi winnam męża mojego odmianę. On tak dobry teraz; tak mnie kocha! Leopold korzystnem jest dla niego przykładem.

— Masz słusność..... ach! ja takich dni pomyślnych dla siebie nie spodziewałam się nigdy, rzekła Teressa piękne swe oczy z wyrazem wdzięczności w Niebo wlepiając; Bez rodziny, bez majątku, mogłażem śmieć nawet marzyć o takiej miłości. I powtórzyła przypominane sobie słowa umierającej matki. „Stwórca o biednych sierotach nie zapomina.”

III.

WDRZEJENIE PROJAWA.

Był to dzień święta Bożego Ciała r. 1838. Na pierwszym piętrze jednego domu, położonego przeciw klasztoru Panien Wizytek w Warszawie, w małym odosobnionym pokoju siedziała młoda osoba. Jedną ręką przytrzymywała dość gruby papieru zeszyt, drugą, wśród zamyślenia bez celu kierując piórem, dziwne kształty kręśliła. — <http://rcin.org.pl>

Po wykończonych rysach jęj twarzy, po pełności i kształtności figury, wnośić można było że jest w całej sile młodości i trzeci krzyżyk zaczęła.

Jęj oczy duże na wpół ukryte ciemnymi rzęsami, zdawały się do tkliwych spojrzeń przeznaczone.— Jednak było w nich więcej ognia niż czułości, zdradzały też duszę bardziej namiętą jak kochającą. Cecylia nie marzy, jak zwykle kobiety w jęj wieku, o przywiązaniu mężczyzny, które, mirtowy wianek, dziewicy na głowę kładzie, nie marzy o pięknych działkach, co wyciągają rączki do mamy, i uśmiewają się, jak Aniołki. Ona nie pojmuje słodyczy dni cicho, spokojnie pędzonych wśród kochającej rodziny. Nie domyśla się, że to szlachetny i wielki zakres, kształcić kilka istot, którym się dało życie i że w tym celu wiele nauk,

wiadomości, głębokość rozumowania, rozwagi, nic nie jest za nadto. Jej umysł wykarmiony od lat młodych wysilającami się na przedstawienie okropności i ochydy, francuzkiemi romanсами, wszystkie stosunki życia w czar-nych widzi kolorach.

Smutny taki charakter! Cecylia pojmuje małżeństwo jako okrutny despotyczny związek coby ją złączył z tyranem złośnikiem, lub też głupcem. Innego męża nie wystawia sobie. A dzieci, to już nie pomyśli nawet o ich człowieczej naturze. Są to dla niej tylko natrętne, płaczliwe, piskliwe zwierzątka.

Woń uczuć nie nęci jej serca, owładła je całe, osuszyła żądza wstawienia się.

Cecylia należy do rzędu kobiet wyższych. Ale, niestety! wyższą jest, nie

delikatnością i szlachetnością duszy, nie szczególną jaką cnotą, lecz tylko uczonością. Uczoność... dla nas zwyczajnych ludzi z tłumu, przedstawia się tak zimna jak metalowy cyrkiel matematyka, tak odrażająca jak zbutwiałe dzieła niemieckich filozofów.

Wolimy rozkoszny uśmiech, migający w powabnych spojrzeniach kobiety, jak na jej czole zamyślenie mądrego profesora. Szkoda pięknej kibici Cecylii, że ją tak garbi nad biurkiem. Ona pisze. Liczne tomy Leibnitza, Kanta, Hegla przed nią. Więc to jakie filozoficzne badania czy zbijania, wyjdą z pod jej pióra. Mój Boże! żal atramentu. Nie tego co splami jej białe paluszki, bo go łatwo woda zmyje, ale tego co pozostanie na papierze i może podać do druku bezużyteczne gadaniny. Bo cóż ztąd za polepszenie wyniknie

na świecie, jaka korzyść dla ogółu, lub pojedynczych osób? Czytanie tego, ziewania jedynie przysporzy. A czyż mozolne zatrudnienia, nie dostarczają dosyć nudów naszemu życiu, żeby jeszcze książkami podobnemi humor sobie kwasić.

Szkoda doprawdy do tych czezych na nic nie przydatnych rozpraw, wyższych zdolności Cecylii. Bo ta dziewczyna ma talent. Patrzcie na jej dumne czoło, wielkie po niem przesuwiają się myśli, lecz niepewne, trudne do uchwycenia, wydobyć się nie mogą z haosu wyobraźni.

— Kto tam? zawołała roztargniona lekkim szmerem, który się dał słyszeć w przyległym pokoju.

Skrzypnęły drzwi i weszła śliczna dziewczynka w białej sukience, z jasnymi włosami co się w gęstych pu-

klach, z pod słomkowego Kapelusza wykradały, spadając na szyję i zagładając nawet aż do rumianej buzi, z której, świeży dziecinny głos dał się słyszeć.

— Cesis, czy pójdiesz z nami na processyą?

— Ach! nie nudźcie mnie, nie przeszkadzajcie mi, raz już zakazałam. Nie pójdę.

Malutka popatrzała się na siostrę z zadziwieniem, potem spojrzała się na swe świecące bučki, któremi była tak uszczęśliwioną i wyszła.

Kwandrans nie minął, a znów drzwi skrzypnęły, znów podobne zapytanie.

— Cesis, czy nie chcesz pójść z nami na processyą? Wyszło z ust kilkunasto-letniego młodzieńca, w którym po jego krótko obciętych włosach, poznać można było ucznia gimnazjum.

— Czy mi dziś nie dacie spokojności. Powiedziałam raz, że nie pójdę.

— Chodź, chodź, nalegał brat jeszcze. Ołtarze tak ładnie postrojone jak nie widziałas nigdy, a co osób będzie. — Jak można tak w święto uroczyste pisać, to grzech.

Cecylia uśmiechnęła się szydersko.

— Idź proszę cię, powiedz Franeczce że zostanie ze mną.

Wyszedł brat, a Cecylia raz jeszcze w swych myślach była rozerwaną.

Weszła do pokoju jej matka.

— Nie chcesz iść na processyą, moje dziecko, to nie dobrze, rzekła słodkim głosem.

— Po co mam? taki upał, głowa mnie próżno rozboli.

— Och! nie mów tak Cesiu, proszę cię niech cię przynajmniej młodsze ródzeństwo nie słyszy.

—Moja Mamo, każdemu wolno mieć swoje zdania, ja nikomu moich nie narzucam.

— Jakże zostaniesz tak samą w domu, wszystkim iść pozwoliłam, stróż tylko będzie pilnował na dole.

— Francuzka przy mnie zostać musi. —

— Zasmucisz ją tém bardzo. Biedna dziewczyna nigdy nie widziała tak uroczystej processyi. Ty nie lubisz Cesi u myśleć o przyjemności drugich, jak się w tych mądrych książkach zagrzebiesz. Lepszą jeszcze byłaś dawniej, kiedy cię od czytania francuzkich romansów oderwać nie można było, choć ci ich wzbraniałam zawsze. — Mówiono mi ile one zepsuć mogą, lecz nie myślałam, żeby w taki sposób. Mój Boże, mówiła dalej z przerażeniem, spojrzawszy na tytuł blisko siebie leżącej

książki, wszak to ty czytasz Voltaira! —

— Ach! moja mamę odpowiedziała Cecylia drwiącym głosem, zapewnie ci jaki ksiądz na spowiedzi bardzo potwornie odmalował biédnego Voltaira, kiedy się go tak lękasz.

W rzeczy samej tak było podobno!... Zmieszała się i zamilkła poczciwa, lecz słaba dla swych dzieci matka.

Choć mówiła kilkoma językami nie posiadała jednak dosyć wiadomości aby módz w długiej obszernej rozprawie dać poznać szkodliwość tego lub owego dzieła. Czuła tylko instyktowo że to te filozoficzne zgłębiania, do których się teraz z zapałem wzięła jęj córka, tak zły wpływ wywierają na jęj młody umysł, tak jęj odejmują wdzięki kobiety czyniąc ją obojętną, wzgardliwą na wszystkie uczucia.

Nie wiedząc jaką przybrać postawę, machinalnie wzięła pierwszą z brzegu książkę i otworzywszy ją przypadkowo przeczytała te dwie linie z Bakona.

— Mało filozofii od religii oddala, wiele filozofii utwierdza nas w niej.

Aż spojrzała uradowana matka, że zdanie uczonego człowieka, tak się zgadzało z jej własną myślą, z której by ona może, samej sobie, sprawy zdać nie potrafiła.

— Oby się to na tobie sprawdziło rzekła do córki, czytaj więc, pracuj, może da Bóg, odmienisz się z czasem.

Wyszła, a Cecylia stała jeszcze nieruchoma, zimna na pozór, jak posąg z marmuru, który białością płci przypominała. Potem zawołała głośno:

— Oni mnie nigdy nie rozumieją!

I przystąpiła do biurka, wzięła oso-

bną kartkę papieru i pisała szybko pod ciepłym wpływem natchnienia.

— Więc samą żyć będę na świecie, samą! wyrzekam się wszystkich związków rodzinnych, wszystkich przyjaźni, uczuć miłości. — Miłość! mogłam o niej marzyć niegdyś, mając lat sześćnaście, wśród upajającego odurzenia, które sprawia szalony taniec, wśród rozrzewnienia, jakie wduszę wlewa muzyka.

— Już teraz skamieniałam na to wszystko, śmieję się, pogardzam.

Nie dla mnie jarzmo małżeństwa, tyranija mężczyzny. Jeżeli kiedy kochać będę, to chyba dla zemsty za te wszystkie kobiety, które się tak łatwo usidlić dadzą, a ja odpowiem szyderstwem odtrączę wzgardliwie, mnie niegodną słabość. Och! muszę być wyższą nad ludzi, oświecać ich, pisać dla nich, zgłębiać ich naturę, aby się nie zniżyć do

ich ułomności. Kobieta słabsza fizycznie nie winnaż być moralnie silniejszą? Czyżby nie potrafiła narzuciwszy tę chęć sobie, siłą woli być odrębną istotą; nieskazitelną, gorejącą duchem nad innemi.— Och ja! tak ja tego dokazę. Będzie mnie tłum z początku potwarzać, a nareszcie podziwiać, uwielbiać.”

Zagrzmiało przeciągłym hukiem, wiatr świstnął i wstrząsł oknami, chmury zaczęły się wzbijać w gęste czarne massy, a słońce skryło się za niemi zostawując powietrze, duszące, rozpalone, co zapowiadało jedną z tych gwałtownych nieprzewidzianych hurzy letnich.

Było coś okropnego w tak raptownej zmianie pogody. Cecylia obejrzała się w około siebie i ogarnęło ją niepowściągnięte, tęsknoty, obawy, uczucie. Zawołała na Franeczkę rozkazując jej

przy sobie siedzieć. Przyszła trzynastoletnia dziewczynka, którą niedawno ze wsi, dla wprawienia jej do usługi wprowadzono. Żywa, zręczna, teraz ani śladu nie było jej wesołego humoru. Nabrzmiałe od płaczu oczy, dowodziły ile ją martwił rozkaz pozostania w domu podczas kiedy wszyscy pošli na processyą.

Cecylia zawstydzona wrażeniem strachu który mimowolnie doznawała, mówiła śmiejąc się dla dodania sobie otuchy.

Jaki deszcz kroplisty, zmokną do nitki. —

Franeczka nic nie odpowiedziała, pewno tylko pomyślała sobie. Ale za to tyle pięknych rzeczy zobaczą. —

Deszcz nie przestawał. Grzmoty coraz gwałtowniejsze na przemian zbłyskawicami.

Wtem do tych straszliwych wstrzą-

seń natury, dzwony Kościelne przyłą-
 czały swe głosy ponure, uroczyste. —
 Processya się zbliżyła, Kapłan przenaj-
 świętszą Eucharystyę schronił do Ołta-
 rza. Snuły się długie szeregi Zakon-
 ników, Zakonnice, tłum pobożnych nie-
 przestawał swych pieśni.

Postępowali wszyscy z ufnością i po-
 kornie zschylonemi głowami. —

Znów przerażająca błyskawica roz-
 warła Niebo oświetliła jaskrawem świa-
 tłem, złote promienie monstrancyi. Przy-
 tomni padli na kolana a długi grzmot
 zachuczał nad ich głowami. I na powrót,
 stało się ciemno. Jakby chciał wyrazić
 Najwyższy: „Oto źródło światła i
 szczęścia, strach i ciemności dla tych
 co mnie się wyrzekają. —

— Jak piękna jest burza! powiedzia-
 ła Cecylia i zamilkła, a na jej twarzy
 pozostał wyraz uwielbienia, pokory,

gdyż te brzące dźwięki spżu, te po-
bożne ludu głosy, te buki wstrząsające
powietrze, błyskawice, co zdawały się
obejmować ogniem całą swiata prze-
strzeń, wszystko nie mówiło do jej duszy.
Jak Wielki jest Bóg. —

Obejrzała czy okno, szczelnie zam-
knięte, przykryła chustką i daleko od-
sunęła od siebie metalową figurkę u-
trzymującą Kałamarz której spiczasta
czapka jako dobry przewodnik Elektry-
czności mogłaby piorun przyciągnąć.
Jakże inaczej ubezpieczać się miała,
ta kobieta filozof, co jednak teraz trwo-
żliwa jak inne, a nie potrafi odmawiać
na wzór naszych prababek modlitw
odwracających klęski burzy. Nie ma
w sobie chrześcijańskiego poddania się
wyrokowi Bożym, które mówi: Bądź
wola Twoja Panie.”

Sądziła więc, że od pioruna, który był

raz niedaleko uderzył, uchroni się zachowując wszelkie ostrożności przepisane przez fizykę.

Usiadła jednak przy biurku z twarzą niespokojną i smutną. — Oh! żeby jaki młodzieniec zobaczył ją wtenczas, tak lekko zarumienioną ze wzruszenia i zdołał chwilę zatrzymać na sobie spojrzenia jej pięknych oczu, które nieco zwilgocone wyrażały szczególne nie zwykłe jej duszy, myśli, byłby ją pokochał pewno, byłby wskrzesił niezawodnie tkliwość uczucia w jej zaziębłym sercu. Bo czyż serce niekochającej jeszcze kobiety, nie jest jak proste ognisko, na którym dopiero ogień miłości tlić się zaczyna, od iskrzących spojrzeń mężczyzny.

Lecz już nikt nie miał zobaczyć Cecylii...

Po drugi raz błyskawica w gzygzag

ściemnione Niebios sklepienia rozpruła, po drugi raz od straszliwego trzasku zadzwoniły szyby.

— A Słowo stało się... zaczęła z przestrachem Franeczka, i padła na twarz nie dokończywszy.— Deszcz przestał, minęła burza. — Rozstąpiwszy się czarne chmury dozwoliły wyjrzeć słoneczku, które jakby obmyte z swęj poprzedniej czerwoności, zaświeciło bielej, jaśniej weselej.

Gromada ludzi patrzyła na strzaskanę od uderzenia pioruna okno domu naprzeciw Wizytek będącego.

— Czy też kto nie zabity, nie zagłuszony pytano się ciekawie.

Z krzykiem, rozpaczą, pospieszyła na górę matka Cecylii i jej rodzeństwo.

W jej pokoju znaleziono drzwi na przestrzal, do samej kuchni roztwarte, zapewne pędem piorunu, Franeczka

zemdłona leżała jeszcze twarzą do po-
sadzki, a Cecylia? ta zczerniona, martwa
zupełnie. Pióro daleko odtrącone od
niej, a kartka niedawno zapisana zo-
stała nietknięta, jakby na dobitniejsze
świadcstwo znikomości człowieka,
Stwórcy potęgi.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-350 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

